

**ROCZNIK
STOWARZYSZENIA RODU
CHROMIŃSKICH**
Nr 3/2008



Stowarzyszenie Rodu Chromińskich
ul. Bernardyńska 21 m.62
02-904 Warszawa
www.chrominscy.pl

Zarząd Stowarzyszenia:
zarząd@chrominscy.pl

- | | |
|----------------------|---|
| 1. PREZES | Sławomir CHROMIŃSKI
slawek@chrominscy.pl |
| 2. WICEPREZES | Daniel CHROMIŃSKI
daniel@chrominscy.pl |
| 3. SEKRETARZ | Stanisław CHROMIŃSKI
staszek@chrominscy.pl |
| 4. SKARBNIK | Barbara CHROMIŃSKA
basia@chrominscy.pl |
| 5. ARCHIWISTA | Michał Jerzy CHROMIŃSKI
misza_chrominski@vp.pl |

Nr konta bankowego Stowarzyszenia:

Nazwa banku: **LukasBank**
Nazwa posiadacza rachunku:
Stowarzyszenie Rodu Chromińskich
Nr rachunku: **81 1940 1076 3034 4583 0000 0000**

Adres do korespondencji: **Zarząd Stowarzyszenia Rodu
Chromińskich
ul. Zelwerowicza 44
02-928 Warszawa**

Zgodnie z Uchwałą II Zjazdu Stowarzyszenia Rodu Chromińskich, składka członkowska wynosi 75 zł. za rok. Zarząd, Uchwałą z dnia 28 sierpnia 2006 r. ustalił wysokość opłaty wpisowej na 20 zł.

**Stowarzyszenia Rodu Chromińskich jest wpisane do
Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem 0000255145
Nr REGON 0000255145
NiP 521 339 97 38**



Drodzy Współrodowcy, Szanowni Czytelnicy

Oddajemy do Waszych rąk kolejny, 3 już numer naszego Rocznika!

Ten numer jest szczególnym numerem. Szczególnym, bo obejmującym dwie bardzo ważne dla naszej Ojczyzny rocznice. W bieżącym roku – 90 rocznicę odzyskania Niepodległości, w przyszłym – 70 rocznicę napaści Niemiec na Polskę. Stąd sporo w nim tekstów nawiązujących do historii, do „tamtych czasów”.

Jest szczególnym, bo zgodnie z decyzją Zarządu Stowarzyszenia, w 2009 roku zorganizujemy 3 Zjazd Rodu Chromińskich! Zjazd, który po 4 latach działania Stowarzyszenia powinien dać odpowiedź na pytanie – co dalej? Jak ma funkcjonować w przyszłości nasze Stowarzyszenie? Próba rozpoczęcia dyskusji nad tymi pytaniami na naszej stronie internetowej oraz drogą e-mailową spotkała się z bardzo ograniczonym odzewem. A odpowiedź na te pytania ma zasadnicze znaczenie dla dalszego naszego „być albo nie być”, a także dla wyboru nowych władz Stowarzyszenia.

Liczę, że poza radością ze wspólnego, trzeciego już spotkania się na Zjeździe, decyzje w tej sprawie będą istotnym dorobkiem naszej wspólnoty.

Sławek - Prezes Stowarzyszenia Rodu Chromińskich

Rocznicowe refleksje

Upływający właśnie 2008 rok to rok obchodzonej przez nas 90 rocznicy odzyskania Niepodległości. W przyszłym roku będziemy obchodzić 70 rocznicę napaści Niemiec i Związku Sowieckiego na Polskę.

Rocznice te prowokują do spojrzenia na nie przez pryzmat osobistych doświadczeń, lub przez przywołanie pamięci o tych, którzy w tych przełomowych momentach naszej historii brali osobisty udział. To bardzo ważne, że zaczynamy o tym pisać. Że przełamujemy ostrożność, która nakazywała naszym dziadom, ojcom, ale też i nam, przez ostatnie dziesięciolecia, zachowywać w głębokich szufladach dokumenty poświadczające „tamte dni”. Kazała omijać te tematy w czasie spotkań towarzyskich, a nawet rodzinnych. To bardzo ważne, że przestajemy milczeć. Ale – czy nie robimy tego zbyt ostrożnie? A jeśli tak – to dlaczego? Dzisiaj już przecież nie musimy obawiać się represji ze strony władzy za to, że nasi dziadowie czy rodzice walczyli z Niemcami, a szczególnie z Rosją Sowiecką o odzyskanie po 123 latach zaborów Niepodległości. Dzisiaj nie musimy już się obawiać szykan z tytułu walki naszych przodków w kampanii wrześniowej, w szeregach Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich czy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dzisiaj już możemy o tym mówić i pisać „z podniesionym czołem”. Ale – czy korzystamy z tej wolności? Jak dotychczas i osobiście, i jako społeczeństwo i jako wspólnota Rodowa robimy to bardzo nieśmiało, jakby skrępowani, zawstydzeni. 11 listopada wszyscy korzystamy ochoczo z dnia wolnego od pracy. Ale w ilu oknach, na ilu domach wywiesiliśmy

flagi narodowe, żeby uczcić tę rocznicę? W moim kościele parafialnym, na specjalną mszę rocznicową na którą ksiądz proboszcz specjalnie zapraszał wiernych, przysła garstka ludzi, praktycznie wyłącznie w starszym wieku. W ilu domach zobaczymy na ścianach pokoiów zdjęcia naszych ojców, dziadów w mundurach „z tamtych lat”? W ilu współczesne dyplomy awansowania przez władze Rzeczypospolitej na wyższe stopnie oficerskie naszych kombatantów? Ile wspomnień o nich, o ich walce za Ojczyznę napisaliśmy i przekazaliśmy – choćby do umieszczenia w naszym Roczniku? Jak nazwać to co w nas głęboko siedzi i nie pozwala tego wszystkiego robić? „Prywatnością” której nie chcemy naruszać? Niech już lepiej umrze razem z nami? Wstydzimy się uczucia, które kiedyś było postrzegane jako najpiękniejsze – patriotyzmu?

Jesteśmy wspólnotą ludzi których łączy to samo nazwisko, odwołujących się do wspólnej tradycji, wspólnego pochodzenia. I wspólna nam winna też być duma z tych wszystkich poprzedzających nas Chromińskich, którzy dobrze zasłużyli się Ojczyźnie na przestrzeni wieków. Wspólna – niezależnie z której gałęzi naszego Rodu oni pochodzili. Musimy tylko przywrócić ich naszej wspólnej, rodowej pamięci. I obyśmy to zdążyli zrobić.

Z radością zapowiadam na dalszych stronach wspomnienia o tamtych latach napisane przez naszych członków. Mam nadzieję, że jest to dopiero początek, który zachęci wszystkich do włączenia się w ocalanie od zapomnienia naszej rodzinnej historii.

Sławek

*Wspomnienia z dzieciństwa
spędzonego na Kresach Wschodnich
cz. II*

Dzień przed wkroczeniem Niemców do Słonima to znaczy w poniedziałek-23 czerwca około godz. 17. pobiegłem do babci Anny Grasiowicz. Babcia mieszkała u państwa Pawłowskich o trzy domy dalej. Pani Pawłowska pochodziła z rodu Nowickich i była krewną babci. Był to stary ród ziemiański. Dom był duży, rozległy jakby dworek. Pobudowany był pod „Górką Nowickiego”. Górka porośnięta była starymi brzożami i sosnami. U babci nie byłem długo. Kiedy wybiegłem z domu usłyszałem warkot silników samolotowych. Zza „Górki Nowickiego” pojawiły się dwa klucze samolotów Henkel 111 na bardzo niskim pułapie. Stałem jak wryty, patrzyłem na te 6 samolotów, które zrobiwszy zakręt poleciały z powrotem jakby się bardziej zniżając. Wróciłem biegiem do babci. Natychmiast usłyszeliśmy serię wybuchów, które po chwili zlały się w jeden ogromny grzmot. Nie wiedzieliśmy i nie mogliśmy zrozumieć co Niemcy bombardują? Przecież nie miasto. Później się okazało, że bombardowano szosę Różańską. Samoloty przyłapały tam kolumnę wojsk sowieckich uciekających z Brześcia. Kolumna była długa na jakieś cztery kilometry. W tej kolumnie były czołgi, samochody pancerne, cysterny z paliwem oraz samochody załadowane ludnością cywilną. Wszystko to zostało

rozbite i spalone. Pomyślałem – jakie szczęście, że kolumna nie zdążyła wjechać do miasta.

Niszczenie tej kolumny trwało krótko, może pół godziny. Kiedy przybiegłem do domu, mało nie dostałem lania. Bardzo się o mnie martwiono. Późnym wieczorem wróciła Rajka z dzieckiem na rękę, żona lejtnanta czołgisty, z pochodzenia Uzbeczka. Prawie płacząc prosiła moją mamę by jej pomogła zanieść „czamadan” – walizkę na stadion. Tam miały czekać samochody i ewakuować ich na Wschód. Ojciec mój nie pozwalał mamie mówiąc, że to niebezpieczne, ale mama ze względu na małe dziecko wzięła walizkę, a Rajka roczne dziecko na rękę i poszły.

Stadion był przy naszej ulicy szosowej, w połowie drogi do koszar, jakieś 500 m. od naszego domu. Zmrok zapadał szybko, a nasza mama jakoś nie wracała. Ojciec denerwował się tym bardziej, że zaczęły latać samoloty zwiadowcze tzw. awionetki. Później wiedzieliśmy, że są to „Storhy” czyli bociany. Samoloty te zrzucały race, flary, które po rozbłyśnięciu sprawiały, że robiło się bardzo widno i jasno. Ojciec obawiał się, że jak nadejdzie jakaś kolumna uciekających wojsk sowieckich, to może się nam oberwać. Poszliśmy na koniec naszej działki, usiedliśmy pod murem, którym ogrodzony był cmentarz żydowski. Mur był solidny z dużych, polnych kamieni, wysoki na półtora metra, szeroki na jeden metr. Pod tym murem nakazał ojciec siedzieć całej trójce: ja, brat – Edward, siostra – Klara. Siostra miała wówczas cztery latka. Sam ojciec poszedł szukać matki, my – dzieci przeżyliśmy sporo strachu. Wkrótce ojciec wrócił z matką, porządnie ją karcąc, że ma troje dzieci, a naraża życie dla wrogiej nam kobiety.

Mama udobruchała ojca, że co by nie mówił to przecież to kobieta z małym dzieckiem. Na stadionie okazało się, że żadne samochody nie przyjechały. W ogólnym bałaganie, w panice, nikt z dowództwa sowieckiego nad niczym nie panował. Każdy ratował się na własną rękę jak tylko mógł i uciekał byle na Wschód.

Widziałem wtedy jak z tej „niepobedimój” – „niezwycięzonej Armii Czerwonej” zrobiła się kupa zdemoralizowanych ludzi uciekających w popłochu i pytających „gdzie droga na Baranowiczi”.

Po północy, już 24 czerwca – wtorek poszliśmy do naszej solidnej piwnicy. Dołączyła do nas nasza sąsiadka Pani Aisza Mucharska., ze swoim synem Sulmanem – naszym kolegą. Był on 14-letnim chłopcem rok starszym ode mnie. Miał wadę wzroku, był krótkowzroczny. Ciągle wiercił się i kręcił, wychodził z piwnicy, biegał do domu. Rankiem, kiedy wzeszło słońce, zrobiło się bardzo cicho. Ojciec powiedział „to jest cisza przed burzą”.

W 1920 roku. był na wojnie potem przeszedł kampanię wrześniową więc w sprawach wojskowych był dla nas autorytetem. Wychodził z piwnicy i wchodził na wzniesienie cmentarza żydowskiego. Po każdym takim „zwiadzie” informował nas, że tylko patrzeć jak dotrą Niemcy, bo Sowieci już pojedynczo biegną i rzucają broń i płaszcze. Wkrótce wrócił do piwnicy przynosząc dwa ruskie szynele – płaszcze, mówiąc „przed chwilą dwaj pogranicznicy przebiegli przez nasz ogród i porzucili płaszcze”. Ja szybko ułożyłem się na tym płaszczu, drugim przykryłem się. Do piwnicy wpadł Sulman, cała twarz zalana krwią i krzyczy „moje oko, moje oko”! Przy opatrywaniu oka okazało się, że ma rozdartą brew nad

lewym okiem. Po opatrzeniu opowiedział, że kiedy był w domu zobaczył, że zatrzymał się ruski samochód GAZ. Wyskoczył z niego szofer i uciekał przez ich ogród warzywny. Za tym samochodem jechał motocykl z koszem, a w nim Niemcy. Szofer schował się w krzaki porzeczek. Niemcy nie schodząc z motoru zaczęli strzelać w te krzaki. Potem pojechali dalej. Wtedy on poszedł w stronę porzeczek i zobaczył tego „ruskiego”. Był to azjata może Kazach lub Mongoł. Miał rozwalony brzuch, jelita - flaki na wierzchu. Sulman uciekając nie zwrócił uwagi na drut kolczasty ogradzający porzeczeki i rozdarł brew. Dostawszy od swej matki parę szturchańców siedział wreszcie cicho w kącie z opatrunkiem na głowie. Pani Mucharska – dzielna kobieta, poszła zobaczyć tego „ruskiego”. Po chwili wróciła mówiąc „nic mu już nie można pomóc, jelita leżą na piasku”. Konający prosił wody, którą mu podała i tyle można było dla niego wówczas zrobić.

Pierwsza czołówka Niemców, to po prostu zwiad na motocyklach z koszem. Na każdym motocyklu siedziało czterech Niemców: kierowca na siodle, drugi w koszu, trzeci z karabinem maszynowym i czwarty siedział na kole zapasowym z tyłu kosza. Motocykliści jechali szybko ulicą Szosową prosto na Baranowicze. Myślę, że mieli za zadanie uchwycić most na rzeczce Szczara. Sowieci odbudowali ten most, który Polacy w 1939r. spalili go im przed nosem. Teraz most stał nienaruszony, bo sowieci uciekając w popłochu nie mieli czasu na zniszczenie mostu. Po przejechaniu motocyklistów znowu zapadła cisza - „cisza przed burzą”.

Mieszkaliśmy z rodziną na przedmieściach

Słonima. Przed Słonimem, po prostu na rogatkach miasta, schodziły się dwie drogi: droga z Białegostoku i droga Rożańska. Właśnie to skrzyżowanie uchwycili Niemcy. Drogą Różańską uciekali sowietci z Brześcia nie wiedząc, że Słonim jest już w rękach Niemców, a dalej Baranowicze położone 55km. na Wschód od Słonima też w rękach Niemców. Uderzenie wojsk niemieckich na północy od Wilna i uderzenie na południe od Brześcia zamykało się w Baranowiczach. Były to tzw. „kleszcze”, które Niemcy zgotowali Sowietom.

Opanowawszy skrzyżowanie dróg – Niemcy czekali na uciekających z Brześcia Sowietów. Około południa większa jednostka Niemców zatrzymała się na naszej ulicy szosowej. Zaczęto przeczesywać dom po domu. Trwała strzelanina. Do dziś nie wiem, dlaczego podczas strzelaniny bardzo chciało mi się spać. Jak już wcześniej wspomniałem, w piwnicy ułożyłem się na ruskim płaszczu, a drugim się przykryłem i potem usnąłem pomimo strzelaniny. To co teraz opiszę dokładnie będę pamiętał do końca dni moich.

Do naszego ogrodu wpadli Niemcy, doszli do piwnicy. Wszystkim kazali wyjść. Wszyscy wyszli: ojciec, matka, brat, siostra, pani Mucharska i jej syn. Niemiec zapytał czy wszyscy wyszli bo jeżeli ktoś został to zastrzeli. Zapewniono, że wyszli wszyscy. Niemiec zszedł do piwnicy, a ja poczułem ból w okolicy żeber. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jakąś, zjawę w hełmie. Na nim okulary motocyklowe, dwa białe place po okularach, reszta szara, zakurzona i tylko wargi czerwone. Szybko zrozumiałem to Niemiec. On coś tam wrzeszczał trzymając w ręku pistolet. Potem już wiedziałem, że było to Parabellum. Z jaką szybkością

wyskoczyłem tego nie umiem ocenić. Za mną wyszedł Niemiec. Każdemu groził pod nosem tym pistoletem i pokazywał na mnie. Pani Mucharska знаła trochę język żydowski i niemiecki i coś mówiła do tego Niemca. Moja matka zemdląła. Ojciec szybko postawił ją na nogi. A ja pewnie zawdzięczam życie temu, że Niemiec nie był zbyt nerwowy. Spałem przecież pod ruskimi płaszczami. Śpiącego łatwo mógł zastrzelić. Żebra bolały mnie jeszcze długi czas. Niemiec silnie dźgnął mnie lufą pistoletu, ale to nie było ważne - przecież żyłem. Po tym incydencie ojciec wyrzucił z piwnicy te płaszcze i poszedł do naszego domu. Poszedł w sam czas, bo w domu zrobiono punkt sanitarny. Dom był nowy, ładny i czysty. Niemiecki oficer zawołał ojca. Ojciec pokazał mu swoje zwolnienie z niewoli niemieckiej z 1939r. Poklepał ojca po ramieniu i nakazał, żeby przebywał w domu, zagotował wody na herbatę. Ogrodzenie wokół naszego domu rozwalono, żeby samochody mogły swobodnie podjeżdżać, na przeciw domu ustawiono duży namiot na którym był znak Czerwonego Krzyża. Była tam sala operacyjna. Zaczęto zwozić rannych Niemców. Pomyślałem - „niby gnają ruskich ale im się też obrywa”. Ojciec idąc przez ogródek do piwnicy został zatrzymany przez młodego Niemca, który zaczął wrzeszczeć na ojca i popychać go w stronę muru. Zza cholewy butów wyjął pistolet i celował w ojca. Może by zastrzelił, ale zobaczył go ten oficer – lekarz. Ryknął wręcz i osztorcował tego młodego Niemca, a mego ojca wziął do domu i nakazał być przy nim mówiąc „te młode SS-many to mogą zastrzelić”.

Wyszedłem z piwnicy i poszedłem do domu zobaczyć się z ojcem. Wtedy zobaczyłem z bliska

niemieckie wojsko i żołnierzy. Małe terenowe samochody stały w pobliżu, żołnierze rozebrani do pasa myli się i golili. Popatrzyłem, że używali kremu po goleniu, mieli włosy na głowach. Było to dla mnie zaskoczeniem, bo ruskich żołnierzy widziałem ostrzyżonych na tzw. „pałę”. Do włosów używali brylantyny, a zęby myli pastą do zębów. Grały też radia, a ja patrzyłem zauroczony i mocno zdziwiony, bo to co widziałem nie przypominało frontu tylko jakby jakieś wczasy.

Kiedy tak zdziwiony stałem, nagle zostałem przewrócony przez Niemca na ziemię. Chociaż był on rozebrany do pasa nałożył na głowę hełm. Usłyszałem przeraźliwy świst i gwizd. Rozpoczęła się bezładna kanonada, nastąpił potężny wybuch. To co opisałem trwało sekundy. Później dopiero wiedziałem, że przyleciał jeden ruski bombowiec. Widocznie chciał zbombardować most na rzece Szczara. Ten most zwany koszarowym był od naszego domu oddalony około 1km. Bomba upadła przy rogu stadionu – trzysta metrów od domu, a siedemset od mostu. Nikomu nie wyrządziła szkody. Musiała ważyć z tonę bo średnica leju miała około 5m. i tyleż głębokość. Po wybuchu wszystko wśród Niemców wróciło do normy. Znow się myli, golili, radio grało marsze tak jakby nie było wojny. Przypomniały mi się słowa ojca gdy wrócił z niewoli 1939r. i powiedział wówczas - „Niemcy to będą gnać bolszewików jak stado baranów”. Przyglądając się Niemcom zobaczyłem nowoczesne wyposażenie, uzbrojenie i dyscyplinę żołnierską, a to co mnie uderzało to „kultura” ich bycia. Tu nie było smrodu, który ciągnął się za bolszewikami, tu pachniał krem, woda kolońska i

brylantyna. Było czysto. Wróciłem do piwnicy. Po południu 24 czerwca zaczęła się straszna kanonada. Okazało się, że Sowieci uciekający z Brześcia i Rożan chcieli się przebić na Wschód. Tymczasem w Słonimie byli już Niemcy. Walki i kanonada trwały całą noc, ale ja zgodnie ze swą naturą usnąłem. Nad ranem kanonada nie była już tak silna. Nadal od czasu do czasu strzelała artyleria. Wyszliśmy z piwnicy. W mieście na ulicy Rożańskiej i Żyrowickiej widać było czarną chmurę dymu. Tak jakby całe miasto się paliło. Widok był przerażający.

Nasza sąsiadka pani Mucharska poszła do swego domu, ale bardzo szybko wróciła. Powiedziała nam, że ten ruski żołnierz z rozdartym brzuchem nie żyje. Był czerwiec, bardzo ciepło i trzeba było go pogrzebać. Wykopano pomiędzy grządkami płytki dół i tam go zakopano. Ten tymczasowy grób był 10m. od naszego kuchennego okna. Pani Mucharska zajmowała się warzywnictwem, a zbiory sprzedawała na rynku.

Widziałem jak Niemcy prowadzili całe masy sowieckich żołnierzy wziętych do niewoli. Spędzono ich na stadion sportowy, ogrodzony drucianą siatką. Dokoła postawiono karabiny maszynowe. Jeńcy sprawiali przykry widok. W naszym domu nadal leżeli ranni Niemcy. Nasz ojciec przebywał w domu, ale my z matką ciągle w piwnicy. Cała nasza ulica i przyległe placówki wypełniły się niemieckim wojskiem. Dymiły kuchnie polowe. W studniach zaczęło brakować wody. Po kilku dniach cała ta pancerna, zmotoryzowana machina zaczęła przesuwać się na Wschód. Zwinięto duży namiot, który był szpitalem polowym. Z naszego domu zabrano rannych. Wróciliśmy do domu. Mama stwierdziła, że z

szafy znikły czyste, poprane i wykrochmalone prześcieradła, poszwy, bielizna itp. Ojciec powiedział, że to zabrano dla rannych żołnierzy. Poza tym nic nie zginęło. Z pokoju gdzie przebywała Rajka zabrano mapę Związku Radzieckiego, portret Stalina i patefon. To była własność Rajki. Po kilku dniach przyszła do nas po te rzeczy, ale już nic nie było. Widziałem ją potem kilka razy. Pracowała w szpitalu wojskowym, który był zorganizowany w naszej pięknej, dużej szkole. Kamień węgielny pod budowę tej szkoły kładł sam prezydent R.P – Ignacy Mościcki.

Po tygodniu ojciec zabrał mnie do miasta. Była to ryzykowna wyprawa. Można było stracić życie. Dwóch naszych sąsiadów Borysewicz i Oleś, z pochodzenia Białorusini, pracownicy cegielni, znajdującej się półtora km. za miastem poszli nakarmić i napić konie. Niemcy zastrzelili ich. Następnego sąsiada - pana Wróblewskiego zięć, pobiegł gasić pożar swego domu, który stał na początku ulicy Rożańskiej. Dom nie był jeszcze wykończony. Gaszącego człowieka zabili Niemcy. Idąc z ojcem po wyjściu z cmentarnego zaułka na ulicę Różańską prowadzącą prosto do rynku zobaczyłem spalony niemiecki samochód terenowy. Cała ulica spalona. Po raz pierwszy oglądałem ogromne pogorzeliisko. Osmalone słupy latarni, pozrywane druty telefoniczne, smród spalenizny, gumy, pierza itp. Zabudowa tej ulicy była drewniano-murowana. Po drewnianej dopalały się resztki belek, po murowanej zostały tylko mury. Przy narożnym domu stał ruski czołg T-34. było ich wtedy niewiele. Ten czołg miał zerwaną wieżę, która leżała obok. Zwłoki czołgisty wisały na słupie telefonicznym, na izolatorach. Zatrzymaliśmy się z

ojcem przy tym czołgu. Ojciec go dokładnie obejrzał. Naliczył 21 uderzeń od pocisków. Żaden pocisk nie przebił pancerza. Potem dowiedzieliśmy się, że Niemcy przez podwórka doszli do tego domu i z balkonu zrzucili jakieś ładunki, które zerwały wieżę czołgu. W ten sposób unieszkodliwili ten czołg. Od czołgu zapaliła się i spłonęła właśnie cała ulica Różańska i połowa Żyrowickiej. Dalej miasto było nienaruszone. Pięć mostów drewnianych i dwa żelazne kolejowe nie ucierpiały. W drodze powrotnej widziałem, że przy tym czołgu kilku niemieckich oficerów robiło zdjęcia. Fotografowali czołg ze wszystkich stron. Odporność pancerza widocznie zrobiła na nich duże wrażenie i zaskoczenie, że nie mają pocisku, który przebił by ten pancerz. Wracalem z ojcem pełen wrażeń. Miasto było jakby wymarłe. Mieszkańcy, a w większości Żydzi, gdzie się pochowali. Pamiętam dobrze taki epizod. Przed domem rodziny Wilków, spokrewnionej z nami poprzez mamę, siedziało na ławeczce kilka kobiet. W większości były to kobiety z naszej rodziny: nasza babcia i jej dwie siostry – Maryla i Fulmena, moja matka oraz pani Bylinowa i bezdzietna pani Grzeszczukowa. Ulicą przejeżdżały niemieckie czołgi. Dziwiłem się, gdyż miały bardzo krótką lufę armatnią.

Jeden z czołgów zatrzymał się. Z czołgu wysiadł czołgista w furazerce na której była trupia czaszka. Później dowiedziałem się, że ta dywizja nosiła nazwę „Toten-kopf”. Był to oficer, gdyż miał srebrne naramienniki. Z czołgu wziął na ręce chłopczyka około czteroletniego. Doszedł do siedzących na ławeczce kobiet i po rosyjsku powiedział do chłopca „Idzi – isczy

swoju mamu”. Chłopczyk grzecznie podszedł do pani Grzeszczukowej i przytulił się do jej kolan.

Pani Grzeszczukowi, koleżanka mojej mamy, miała wówczas 36 lat. Niemiec dał dziecku czekoladę. Po rosyjsku do kobiet powiedział, że zabrał go z drogi. Chłopiec siedział przy zabitej matce i płakał. Wiezie go już ponad 60km., jest wojna, on musi jechać dalej, może też sam zginąć. Dziecko temu niewinne. Zasalutował, wsiadł do czołgu i odjechał. Kobiety zaczęły wypytywać chłopca, ale on pokazał na woreczek, który miał zawieszony na szyi.

Był tam kartonik, a na nim wypisane: „Alik Osipow – urodzony 1938 r. w Charkowie”. Wszystkie kobiety bardzo się dziwiły, że los kazał dziecku wybrać bezdzielną kobietę. A jeszcze bardziej zdziwione były człowieczeństwem Niemca z „trupią czaszką”.

Cały czas ulicą Szosową jechały zmotoryzowane wojska niemieckie. Mnie, 13-letniego wówczas chłopaka, fascynowała i zadziwiała dobra organizacja i porządek jaki panował podczas tego przejazdu. Słyszałem już o niemieckim porządku. Teraz naocznie widziałem ten „Ordnung”. Żandarmi mieli na piersiach zawieszone na łańcuchach (jak nasi sędziowie) blachy w kształcie półksiężyca. To właśnie oni ustawiali znaki ze strzałkami i numerami (chyba jednostek wojskowych) i inne znaki informacyjne. Żaden Niemiec nie pytał o drogę. W rękę trzymali tzw. „lizaki”. Kierowali ruchem sprawnie. W nocy ruchem kierowano za pomocą latarek elektrycznych. Przy pomocy trzech kolorów: żółty, zielony, czerwony dawali odpowiednie sygnały.

Kiedy te pancerne wojsko i dywizje przetoczyły się przez Słonim, Baranowicze – na Mińsk, pojawiły się

wojska, które dobrze znałem sprzed wojny. Były to tabory o „napędzie konnym”. Duże wozy o wysokich kołach ciągnięte przez ogromne konie – ardeny, stępaki, perszerony. Ludzie mówili, że to konie „belgijskie”. Konie te były duże, o dużych głowach i kopytach, bez ogonów, jedynie krótkie kitki (jak lamy albo sarenki). Takie konie widziałem po raz pierwszy. Konie te ciągnęły nie tylko duże wozy przykryte plandekami ale też armaty – po sześć koni w zaprzęgu. To wojsko przypominało mi polskie wojsko.

Ja i mój brat Edward oraz kuzyn Zdzisław Wilk przyglądaliśmy się tym wozom i koniom. Jeden wóz zatrzymał się. Zlazł z niego niemiecki żołnierz i przyjaźnie zachęcił nas byśmy podeszli. On odwiązał trzy konie – luzaki bez uzd jedynie na postronkach uwiązane. Mnie dał do ręki powróż z ładnym bułanym wałachem, bratu – siwą klacz, Zdzichowi dużego perszerona bez ogona. Wsiedli na wóz i odjechali, śmiejąc się i machając zostawili nas z głupimi minami. Te konie były zdrożone z odparzelinami na piersiach od uprzęży. Cieszyliśmy się bardzo, ale była to radość przedwczesna. Gdzieś po miesiącu, kiedy konie odpoczęły i zostały przez nas odkarmione Niemcy zabrali je nam i jeszcze innym ludziom pozabierali konie. Z zakwaterowaniem tych „podarowanych” koni nie mieliśmy problemu. Zdzisław był synem ziemianina. Posiadali oni własne stajnie i dwa konie. Ja z bratem zaprowadziliśmy „swoje” do sąsiada – pana Karpiejczyka. Był to marynarz carskiej marynarki wojennej, uczestnik bitwy pod Cuszimą. Bił się z Japończykami. Podczas rewolucji w Rosji uciekł do Polski i ocalał. Pobudował piękne gospodarstwo i w nim

użyczył schronienia koniom. Na drugi dzień od rana pojechaliśmy z bratem na żydowski cmentarz napaść nasze konie. Po grobach pozostały tylko kamienie ale trawa była ładna i zielona. Jeździć konno umieliśmy bardzo dobrze. Jedyne Zdzicho, choć miał szesnaście lat, miał problem dosiąść tego perszerona. Poradził sobie tak, że jak koń skubał trawę on siadał mu na łeb, koń podnosił głowę, a on sprytnie był już na grzbiecie. Śmieliśmy się przy tym bo było to dość oryginalne dosiadanie konia - ale skuteczne.

Pod koniec czerwca front przetoczył się daleko na wschód o jakieś 400km. Niemcy dziennie pokonywali około 60km. Mając te konie ojciec wziął worki, sznurki, troki, a my z bratem siedliśmy na konie i na skróty przez żydowski cmentarz pojechaliśmy na pola uprawne. Za cmentarnym murem stał rozbity niemiecki samochód pancerny. Pomimo grubości blachy 5-6mm. pocisk zrobił dziurę, że mogła wejść w nią ludzka głowa. Przy samochodzie leżał nowy niemiecki płaszcz. Poła płaszcza była nieco nadpalona. Ojciec włożył płaszcz do worka. Protestowałem, bo pamiętałem kłopoty z ruskimi „szynelami”. Ojciec powiedział - „poprujemy płaszcz i będziesz miał elegancki mundurek”. Tak się też stało. Chodziłem w nim całą okupację. Za żydowskim cmentarzem był koniec miasta. Wspomniałem już, że schodziły się dwie drogi – z Białegostoku i Różan. Szosa białostocka była czysta, a szosa na Różany na poboczach zapchana wrakami samochodów i czołgów. Był to wynik bombardowań z 24 na 25 czerwca. Odbył się tu „pogrom” na uciekających Sowietach. Te rozbite i spalone wraki stały jeden za drugim na przestrzeni 4km. aż po samą wieś Dzierewianczyce. Widok był

przerażający. Dla ojca, uczestnika wojny bolszewickiej w latach 1919-20 oraz kampanii wrześniowej od Mławy do Warszawy, te widoki były normalne ale dla nas był to szok i poważny wstrząs. Dla przykładu – widziałem stojący samochód cysternę spalony. Te samochody miały kabiny drewniane, doszczętnie spalone. Pozostały tylko elementy żelazne. Tam gdzie była kabina, siedział zwęglony człowiek – kierowca, trzymał zwęglone ręce na kierownicy. Czuję swąd spalonego ciała, spalonych opon, smród rozkładających się ciał. Trupy leżały nabrzmięte i spuchnięte. Twarze czarne jak u Murzynów. Uciekaliśmy z bratem, ale ojciec przywołał nas do porządku mówiąc: „tak wygląda wojna, będzie tego więcej”. Trupów były setki, może nawet tysiące. Najgorsze było to, że były tam kobiety i dzieci. Rodziny ruskich żołnierzy i uciekających cywilów. Bomby przecież nie odróżniały kto cywil, a kto żołnierz. Niemcy widocznie nie chcieli brać sowieckich żołnierzy do niewoli, bo w zbożu – w życie - natknęliśmy się na stopy ruskich ciał. Taką gromadą nie mogli zginąć od bomb czy pocisków. Morale sowieckiego żołnierza w tym czasie było żadne. Przygniecenii ogromną przewagą techniczną masowo poddawali się do niewoli. Niemcy nie zaprzęтали sobie nimi głowy. Już w pierwszym miesiącu wzięto półtora miliona Sowietów do niewoli. Dla Niemców był to ogromny problem do wyżywienia. Śmiercią głodową umarło bardzo wielu jeńców, zdarzały się przypadki kanibalizmu.

Przemierzaliśmy z ojcem to pobojuwisko. Wiele czołgów było na chodzie. Miały w zbiornikach paliwo, w środku pociski do działka. Po prostu stały porzucone, opuszczone. Właziliśmy do nich i oglądaliśmy wszystko.

Były to czołgi starego typu. W żadnym nie było radia. Pancerze były mocne. W 1939r. Sowietci szczylic się tymi czołgami. Mówili złośliwie, że „Polacy przed wojną tańczyli tanga, a my budowali tanki”. No a teraz ta niby potęga stała bezużyteczna, a ci niby „niezwycięzeni” leżeli martwi wśród łąnów zboża, wśród porzrzucanych hełmów, masek gazowych, karabinów i amunicji. Ojciec zabronił nam brać cokolwiek do ręki. Niektóre karabiny miały utracone kolby. Natrafiliśmy na samochód na którym były kartofle i worek kaszy jęczmiennej. Ojciec powiedział, że jest to najlepsza zdobycz na jaką trafiliśmy. Sprytnie porobił „juki” i zarzucił koniowi na grzbiet. Znaleźliśmy też nowy, skórzany płaszcz i zabraliśmy go. Z taką zdobyczą wróciliśmy szczęśliwie do domu. Wspomniałem już, że na stadion sportowy spędzono masę jeńców. Któregoś dnia w kilku chłopaków pobiegliśmy zobaczyć co tam się dzieje. Zobaczyliśmy jak dwóch Niemców przyprowadziło dużego, wychudzonego konia. Niemiec z pistoletu strzelił koniowi w łeb. Kilku jeńców rzuciło się na tego konia. Jeden miał kosę w rękę i go „obrabiali”. Dalej stała kuchnia polowa. Inni Niemcy z kijami w rękę waląc po głowach wygłodniałych jeńców starali się utrzymać porządek.

Przy samej ulicy wykopany był dół, w nim jakieś drągi. Na tych drągach jeńcy załatwiali swoje potrzeby. Rozchodził się niesamowity smród i fetor. Ludzie przechodzący tą ulicą zatykali nosy, a tym biedakom nic nie przeszkadzało. Masowo umierali z głodu, tego umierania nikt nie liczył. Wywożeni byli wozami. Te wozy ciągnęli jeńcy na cegielnię i tak grzebali trupy w wykopanych dołach. Grzebani ludzie byli nadzy, bo

koledzy zdzierali z nich wszystko. Pozostałych przy życiu pędzono piątkami na zachód w stronę Białegostoku. Wokół nich szli Niemcy z bagnetami. Jeżeli który padł, dobijali strzałem z karabinu. Kiedy stadion opustoszał, nie było na nim ani źdźbła trawy. Była wyjeżdżona. Na stadion zaczęto ściągać wszelki złom: samochody, czołgi, armaty itp. Pracownicy cywilni palnikami cięli to żelastwo, a potem wywożono je na stację kolejową jako cenny surowiec wtórny. Przerabiano ponownie na czołgi i armaty – „niemiecki ordnung”.

Zaczęła się nowa okupacja – tym razem niemiecka. Niewiadomo, która była lepsza, która gorsza. Niemcy wybrali ponad pięciuset Żydów – silnych, młodych i zdrowych, pognali ich na to pobojuwisko. Pod nadzorem Niemców jedni kopali doły, drudzy znosili rozkładające się zwłoki do tych dołów. Wrzucano je bez żadnej identyfikacji i grzebano posypując wapnem. Bano się zarazy. Po wykonaniu tej okropnej pracy, Żydzi nigdy nie wrócili do domu. Wszelki słuch o nich zaginął. Żyd czyli Jude dla Niemców to też była „zaraza”.

Od tamtych dni, tamtego czerwca minęło 67 lat. Te przeżycia i widziane obrazy wryły się głęboko w moją pamięć i psychikę. Czas niczego nie zatarł. Do dziś pamiętam wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Tego nie da się zapomnieć. Tego nie można i nie powinno się zapomnieć.

Ryszard ze Starego Kurowa

PRO MEMORIA

Historia fascynowała mnie od najmłodszych lat. Od momentu w którym nauczyłem się czytać „chłonałem” słowo pisane traktujące o tej tematyce jak również wszelkiego rodzaju programy w TV. Ta pasja rozwijana i kształtowana poprzez wiek nastoletni trwa nadal. Szczęśliwe koleje losu sprawiły, iż moje zainteresowania mogę realizować w swojej codziennej pracy w archiwum – najpierw w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, a obecnie w Centralnym Archiwum Wojskowym oraz poprzez studiowanie historii na Akademii Podlaskiej, w jakże bliskich naszym sercom Siedlcach. Kierowanie pracownią konserwacji dokumentów poniekąd pomaga mi realizować także zainteresowanie plastyką, na zajęcia której uczęszczałem w dzieciństwie. Cierpliwość i konsekwencja, tak potrzebna w niełatwym procesie odtwarzania pierwotnego wyglądu i stanu dokumentacji, pomaga mi także w moim hobby – modelarstwie. Można rzec, że w swojej pracy łączę przyjemne z pożytecznym – w dosłownym tego znaczeniu, ponieważ oprócz możliwości rozwijania pasji mam nieoceniony dostęp do wszelkiego rodzaju dokumentów i publikacji, a co za tym idzie również do Chromińskich – bohaterów minionych wieków i wydarzeń.

Efekty poszukiwań genealogicznych naszych przodków skwapliwie kopiuję i utrwalam, aby stanowiły wartość nie tylko dla nas samych, ale również dla

kolejnych pokoleń naszego rodu. Podczas odbywania stażu w AGAD-zie oprócz kontaktu z dokumentami miałem możliwość zapoznania się z treścią wielu opasłych tomów leciwych herbarzy, encyklopedii i słowników. To wówczas prawdopodobnie doszło do jak to nazywam żartobliwie „skrzywienia”, polegającego na zaczynaniu przeglądania książek od indeksu osób wymienianych w publikacji. W archiwalnej czytelni śledząc informacje o losach Chromińskich oraz popadając w dumę uczyłem się patriotyzmu.

W niniejszym szkicu chciałbym podzielić się z Wami co ciekawszymi informacjami do których dostęp niekiedy jest ograniczony, a które mogą Nam pomóc w zrozumieniu naszej wspólnej historii. Z okazji 90-tej rocznicy odzyskania przez nasz kraj niepodległości pozwoliłem sobie szczegółowiej przybliżyć informacje o naszych przodkach w aspekcie militarnym i narodowowyzwoleńczym.

I tak najstarszym jak do tej pory przodkiem wspomnianym w herbarzach jest Stanisław Chromiński – współwłaściciel wsi Chromna w 1580 r. (najstarsza wzmianka o Chromnej pochodzi z 1529 r.). W tych samych herbarzach oraz w dokumentach Heroldii Królestwa Polskiego wymieniana jest inna ciekawa postać – Andrzej (Jędrzej), który w 1659 r. swoim synom pozostawił w spadku wsie Ługowo (Ługi Wielkie) i Chromną. Najwięcej informacji udało mi się zebrać o Kazimierzu Broniszu, urodzonym w 1759 r. w Chromnej słynnym bibliofilu i nauczycielu, który brał udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. W jednej z powojennych publikacji opracowane zostały materiały dotyczące Kawalerii Narodowej Wojska Koronnego z końca XVIII

w. Przeglądając je natknąłem się na listę II-giej Brygady owej kawalerii ze stycznia 1790 r. Z listy tej wynika, iż w I-szej Chorągwi hetmana polnego koronnego Rzewuskiego w gronie oficerów służyło aż czterech Chromińskich: Aleksander (namiestnik chorągwi), Jacenty, Ignacy i Teodor. Podobnie w kawalerii, lecz tej bliższej sercom i pamięci Polaków, bo w szwoleżerach Gwardii Cesarza Napoleona Bonaparte, służył nieznany z imienia Chromiński, biorący czynny udział w większości kampanii okresu 1812-1814.

Udział naszych przodków w Powstaniu Listopadowym obrazują losy Władysława i Jana. Ten pierwszy był sierżantem 16. Pułku Piechoty Liniowej formującego się na Lubelszczyźnie. W momencie przekraczania granicy z Prusami w październiku 1831 r. został awansowany na podporucznika. W styczniu 1832 r. przybył do Francji i następnie przebywał w obozie dla emigrantów polskich (w większości żołnierzy) w Besançon, wśród których znajdowały się takie osobistości jak Szymon Konarski czy Ludwik Mierosławski. Władysław brał czynny udział w tzw. „wyprawie frankfurckiej” płk. Józefa Zalewskiego w 1833 r. W kwietniu tego samego roku po nieudanej wyprawie przeszedł do Szwajcarii. Z kolei Jan jako szeregowy żołnierz tuż po przegranym powstaniu internowany i więziony był w Prusach. Co ciekawe, Prusacy załadowali polskimi jeńcami trzy statki z zamiarem wysłania ich jako „białych murzynów” do Ameryki. Ich plany pokrzyżował nieoczekiwany bardzo silny sztorm, w wyniku którego dwa okręty zawinęły do portów we Francji, a trzeci do Portsmouth w Wielkiej Brytanii. Właśnie na tym ostatnim statku znajdował się

Jan, który w nowym dla siebie kraju w latach 1834-1839 pobierał zasiłek od rządu brytyjskiego.

W kolejnym wielkim zrywie narodowym - Powstaniu Styczniowym, brał udział Tomasz z linii naszego prezesa Sławka. Jest on wymieniony na liście osób zesłanych w głąb Rosji na osiedlenie i roboty.

W miejscu mojej aktualnej pracy w Centralnym Archiwum Wojskowym, odnalazłem dokumenty – teczki personalne Chromińskich, którzy w okresie walk o odzyskanie Niepodległości, jako oficerowie służby czynnej lub rezerwy, służyli w odrodzonym Wojsku Polskim. Wśród nich dokładnie opisane losy dwóch braci dziadka (kpt. Romana) naszego prezesa Sławka – płk. Kazimierza i por. Andrzeja, oraz stryja - rtm. Jerzego, uczestnika kampanii wrześniowej w 110 pułku ułanów, (nota bene za świetnymi opiniami dowódców podczas ćwiczeń rezerwy w polu), a później, dowódcy Oddziału Specjalnego AK w Skierniewicach.



kpt. Roman Chromiński
1918 r.



por. Andrzej Chromiński
1918 r.

Odnajdując i przeglądając ich teczki nie przypuszczałem, że sprawię tym faktem Wujkowi Sławomirowi tak ogromną radość oraz że przywołam w Jego pamięci na nowo zasłyszane dawno temu wspomnienia i opowieści o przodkach, a co chyba najważniejsze – że pomogę odkryć nieznanego wcześniej przodka, jakim jest Andrzej.

Śledząc natomiast przebieg służby wojskowej płk. Kazimierza Chromińskiego zapałałem ogromnym szacunkiem dla 22. Pułku Piechoty z Siedlec, którego pierwszym dowódcą był właśnie Kazimierz. Historia 22 pp tak bardzo mnie zafascynowała, iż zbieram wszelkie dostępne informacje na temat tegoż pułku, a historia i moment jego powstawania i formowania stanowi temat mojej pracy magisterskiej.

O udziale trzech naszych przodków w Powstaniu Warszawskim podaje „Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powstania Warszawskiego”. Wymienieni są w niej: ppor. Franciszek (trafił później do Oflagu w Murnau), plut. Franciszek ps. „Baca” (Zgr. „CHROBRY II”, komp. łączności) oraz poległy w dn. 06.09.1944 r. w Śródmieściu strz. Tomasz Tadeusz ps. „Wielki”, o którym w swojej publikacji dot. Batalionu AK „KILIŃSKI” wspomina także Bronisław Lubicz-Nycz.

Michał Jerzy

Wspomnienia Stanisława Chromińskiego – cz. I (kampania wrześniowa)

Dnia 25. sierpnia 1939r. około godz. 8 miejscowy sołtys dostarczył mi osobiście za pokwitowaniem kartę powołania najbliższym pociągiem do 57 pp w Poznaniu. Najbliższy pociąg miałem około godz. 11-tej. A więc



szybko dokończyć śniadanie, odpowiednio przebrać się, pospiesznie zapakować wszystkie swoje rzeczy (było tego 2 duże walizki i 1 karton), nalepić adresy, napisać list zawiadamiający o wszystkim rodziców, pożegnać i rozliczyć się z biurem i właścicielem panem Skrzydlewskim (na brakujące 500 zł otrzymałem weksel), poprosić o powózkę i zajechać na tyle wcześniej

aby zdążyć przed pociągiem nadać pakunki na dworcu. Wszystko to udało się sprawnie załatwić. Po przyjeździe do Poznania udałem się bezpośrednio do koszar i stwierdziłem, że jestem jednym z pierwszych, a może w ogóle pierwszy, który imiennie rano powołany zgłosił się o 12:30 w koszarach. Przyszło mi za to zapłacić kilkugodzinnym czekaniem, podczas którego bardzo żałowałem, że nie odwoziłem osobiście swoich bagaży do domu rodziców. Dopiero przed wieczorem zawieziono nas gdzieś za Junikowo do stodoły u gospodarza i zakwaterowano na noc. W ciągu

następnych dwóch dni stopniowo umundurowano i rozpoczęto jakieś ćwiczenia w polu. Czwartego dnia, a więc 29. sierpnia, wydano nam ostrą amunicję i przeniesiono na zachodnie obrzeże Poznania na lewo od szosy E8, gdzie były gotowe już rowy strzeleckie, zakwaterowano nas w jednym z pokoi jednorodzinnego domku, gdzie staliśmy w pogotowiu. Tu właściwie zostaliśmy w pełni zorganizowani.

Zostałem przydzielony do 1-szej drużyny strzeleckiej, 1-szego plutonu, 9-tej kompanii, III batalionu, 57. pułku piechoty im. Karola II Króla Rumunii 14. Dywizji Piechoty Armii Poznań z następującą obsadą:

D-ca Armii gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba

D-ca Dywizji gen. bryg. Franciszek Wład

D-ca 57. pułku ppłk dyw. Tomasz Kazimierz Rybotycki

D-ca III batalionu mjr Józef Kępiński

D-ca 9. komp. por. Eugeniusz Julian Dittmajer

D-ca I plutonu ppor. rez. Zygmunt Szatkowski

D-ca I druž. kpr. Till

z-ca d-cy I druž. kpr. Stanisław Chromiński

Dni te wypełnione były oczekiwaniem na bieg wydarzeń, raz nadzieją, innym razem niepokojem. Najnowsze wiadomości czerpaliśmy z radia znajdującego się o kilka domów od nas. Niestety, 1 września, a był to piątek, stało się. Poznań tego dnia był bombardowany 3-krotnie: w samo południe, o 15:00 i 18:00 godz. Obiektem nalotów były Zakłady Hipolita Cegielskiego, hangary lotniska Ławica, koszary 57 pp. na Jeźycach, Zakłady Umundurowania, Zakł. Hartwiga i Barcikowskiego oraz Poczta Główna. Były pożary i ofiary w ludziach.

Oglądaliśmy walkę powietrzną podjętą przez naszych lotników, zakończoną zestrzeleniem 1 lub 2-ch samolotów nieprzyjacielskich.

Wieczorem tego dnia odbył się apel wojskowy naszej kompanii. Przemówił na nim d-ca naszej 9. komp. por. Eugeniusz Julian Dittmajer, zawiadamiając nas oficjalnie o napadzie Niemiec na Polskę i stanie wojny z tym państwem. Przemówienie było krótkie i żołnierskie, bez akcentów politycznych i zakończone, dobrze pamiętam, słowami „zginę ja, zginą niektórzy z Was, ale przecież nie zginą wszyscy.”

Dzień 2-go września, czekając na miejscu, przeszedł na ogół spokojnie. Natomiast w niedzielę, dnia 3 września już o świcie rozpoczęliśmy opuszczać Poznań. Dziwiło mnie to, że mimo braku nieprzyjaciela, co prawda rzadko, ale gdzieś tam dało się słyszeć jakieś pojedyncze strzały. Maszerując ulicami szliśmy przez Główną, Kobylnicę i zatrzymaliśmy się w godzinach rannych w przydrożnym lesie Wierzonka. Wieczorem kontynuowaliśmy marsz szosą do Pobiedzisk, a następnie skręciliśmy w kierunku Nekli i zatrzymaliśmy się na odpoczynek na skraju lasu w Nekli. Tu zostałem wyznaczony na następną zmianę jako d-ca czaty na kierunek zachodni drogi E-8 przy styku drogi na Nekielkę. Na punkt zaciągnięcia czaty osobiście mi znany, zaprowadziłem pierwszą zmianę, a sam korzystając z 2-godz. przerwy, pożyczyłem u znajomych rower i odwiedziłem w pobliskim Starczanowie rodziców i rodzinę.

Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość, że do stacji Nekla nadeszły moje walizki nadane 25. sierpnia na stacji

Wargowo, bo przecież był tam dorobek całego mojego dotychczasowego życia. W domu wszyscy bardzo się ucieszyli, byli zajęci normalną pracą domową i na polu, kopali właśnie ziemniaki. Spożyliśmy wspólnie obiad i pożegnaliśmy się, przy czym Ojciec z humorem ostrzegał, aby głowy na froncie za wysoko nie podnosić. Gdy wróciłem do swoich żołnierzy okazało się, że w międzyczasie rozdano papierosy po 100 szt. na osobę, jedyny przydział w tej wojnie i zjedzono obiad. Nadszedł rozkaz dalszego marszu lasami w rejon Powidza. Zostaliśmy poinformowani, że nieprzyjaciel naciera z południa i północy, wyprzedza nas w kierunku wschodnim, a położenie nasze podobne jest do rozwartych nożyc i musimy się spieszyć, gdyż grozi nam zamknięcie. Maszerowaliśmy po wyjściu z Poznania po linii Pobiedziska - Nekla – Powidz, Ślesin - Kłodawa – Krośnice - Kutno, przez 7 kolejnych nocy i częściowo dni. Zmęczenie i bezsenność dochodziły do zenitu. Nauczyliśmy się spać nawet w czasie marszu, potracając lewego i prawego sąsiada odnajdywaliśmy odruchowo swoje miejsce w marszu i potem znowu zapadaliśmy bezwładnie w półsen. Zarządzany co 1 – 2 godz. jakiś krótki odpoczynek na poboczu drogi, zamieniał się natychmiast w głęboki sen. Ponownie budzone wojsko do dalszego marszu byto półprzytomne i trzeba było wyznaczyć specjalną służbę do sprawdzania obecności wszystkich i zbierania z miejsca odpoczynku pozostawionych przedmiotów ekwipunku, często karabinów i załadowania ich na jadące z tyłu tabory. Przemieszczanie się wojska było bardzo utrudnione, gdyż drogi zapchane były tłumem uciekinierów, od dzieci po starców, na wozach, wózkach i pieszo z małym lub

większym bagażem. Liczebność ich była większa, wielokrotnie przewyższała posuwające się związki jednostek wojskowych. Często dochodziło do korków, zwłaszcza w pobliżu skrzyżowania dróg, gdzie górę brał chaos i nieład, rozrywały się wtedy kolumny wojskowe i gubiły skupiska cywilne. Było to zjawisko nieprzewidziane przez najśmielszych sztabowców. Lotnictwo nieprzyjacielskie w pierwszych dniach marszu widoczne nad nami tylko w przelocie, od wysokości Koła do Kutna zaczęło nam coraz częściej dokuczać. Nie były to jednak zorganizowane naloty na większą skalę, ale raczej popisy niektórych lotników, bezkarnie pikujących, zrzucających bomby i ostrzeliwujących wszystko co się ruszało na drodze. Straty jednak z tego powodu nie były duże, a wśród najbliższych żadne.

Po tygodniowym, bardzo forsownym i wyczerpującym marszu znaleźliśmy się w pozycji wyjściowej do działań zaczepnych w pobliżu Bzury po prawej stronie szosy Kutno - Piątek. Jeszcze w lesie, ale już przy odgłosie wymienianych strzałów, przemarsz nasz odebrał generał Wład z grupą dowódców, gdzie powiadomiono nas o mających się rozpocząć walkach. Przekroczenie Bzury na jej południową stronę nastąpiło przez nasz batalion już o zmroku, miejscem przejścia był jakiś drewniany mostek. Po obu stronach rzeki rozlegały się obszerne łąki, a po jej południowej stronie również bagna i torfowiska. Począwszy od mostu zaczęła ostrzeliwać nas dość gęsto artyleria nieprzyjaciela opryskując nas błotem. Szliśmy luzem i gęsiego, wyszukując dogodniejszych przejść, wciąż pod ostrzałem artyleryjskim. Po osiągnięciu lasu skupiono nas i zawiadomiono, że jesteśmy batalionem odwodowym

i mamy czekać w pogotowiu na rozkaz. Noc więc mijała w oczekiwaniu na chrzest bojowy. Mimo ogromnego zmęczenia rzadko kto zasnął. Tuż obok trwała bezustanna wymiana ognia artyleryjskiego, karabinów maszynowych i karabinów zwykłych, słowem wielka bitwa. Mimo woli w myślach przesuwa się film całego życia od dzieciństwa do dnia dzisiejszego z ostatnim pożegnaniem rodziny. Rozkaz nadszedł wczesnym rankiem. Przesuwają nas więcej w prawo, na południowy skraj lasu, prosto na wieś Goślub. Zmieniamy na stanowiskach I. batalion, a na drzewach strzelców wyborowych. Wymiana strzałów trwa nadal u nas i na całej szerokości frontu z prawej i lewej strony. Około godz. 9.00 przychodzi rozkaz "do ataku". Tworzymy kolumnienki poszczególnych drużyn w dwójkach. Plutony z 3. rozstawionych drużyn i z kolei kompania z 3. plutonów itd. W podobnym szyku. cały batalion wsparty ckm działkami panc. i artylerią.

Oficerowie na czele, z odbezpieczoną krótką bronią w rękę, reszta żołnierzy z bagnetami na karabinach, wszyscy idą żwawo, bez przystanku, niby w rozstawie, a jednak zwarcie, prawie tak brawurowo jak żołnierze Napoleona pod Borodino. Z lewej strony stogu zboża ostrzeliwują nas z broni maszynowej, ale wnet inni nasi idąc podobną ławą likwidują to gniazdo straceńców. W odległości około 300 m od lasu, na lekkim wzgórzu napotykamy jak okiem sięgnąć całą linię rozstawionych co około 5 m od siebie dołków strzeleckich, sporządzonych bardzo starannie, jak na pokaz wygodnych, z dodatkową rezerwą co do długości i szerokości, obłożonych darnią, jako barwą ochronną, a w przodzie odpowiednio długie, wygodne stanowisko

ogniowe do karabinu. Patrzą i prawie oczom nie wierzę, na mojej wysokości w lewo i prawo w 50% — 40% tych dołków leżą martwi żołnierze niemieccy, same „kopfschuss” najczęściej poprzez hełm. A więc tu czekali na nas. Musiało to być doborowe wojsko, skoro w tych warunkach spełnili wszystko, a okazuje się nie uwzględnili jednego – nie zabezpieczyli dla siebie drogi wycofania. Od tej linii do wsi Goślub pozostało około 400 m. My w dalszym ciągu w niezmiennym szyku i tempie szybkiego marszu posuwamy się naprzód. Po drodze wstają z bruzd i redlin inni niemieccy żołnierze, niektórzy ranni, podnoszą ręce i proszą żeby nie strzelać. Nie zajmujemy się nimi, odsyłamy do tyłu, sami po osiągnięciu przydomowych ogrodów wpadamy biegiem do wsi. Chaotyczna strzelanina wciąż trwa. Liczba jeńców rośnie, wokół wiele rannych, a jeszcze więcej zabitych, zwłaszcza na skrzyżowaniach za wsią, zapewne plon naszej artylerii. Po przeczesaniu i oczyszczeniu wsi, nacieramy dalej w kierunku Piątku. Otrzymujemy z przodu z kilku miejsc, silny ogień karabinów maszynowych. Po raz pierwszy padamy na ziemię, równocześnie artyleria niemiecka kładzie skoncentrowany ogień na skrzyżowanie dróg. Zostaję w tyle wykorzystując przydrożny rów. Wychylam głowę aby nie stracić łączności i wybrać moment do skoku. Dostoczyć do swoich uziemionych na gołym polu mogłem dopiero za około pół godziny. Tym razem skończyło się dla wszystkich szczęśliwie. Zmieniamy trochę kierunek więcej na wschód. Posuwamy się ubezpieczonym marszem. Po drodze napotykamy rozbite działo artyleryjskie, zabite konie, również poległych naszych żołnierzy. Powiadają, że tu gdzieś zginął major

Wieczorek, d-ca II batalionu 57 pp. Przed nami łuny i pożary. Po południu wkraczamy do płonącego Piątku. Miasto na ogół opustoszałe, na ulicach pełno niemieckiego mechanicznego taboru, artylerii, leżą bezładnie trupy ich żołnierzy, wychodzą jeńcy, jest ich dziesiątki. Wychodzimy poza miasto. Organizujemy ubezpieczenie. Liczymy się z przeciw natarciem, zwłaszcza bronią pancerną. Spożywamy posiłek, cały czas w pogotowiu. Nadchodzi zmrok, a później wieczór – okolica w ogniu. Pułk nasz jako odwód, przesunięty został do lasu Witów. Dalsze nasze działanie polegało na posuwaniu się ogólnym w kierunku południowym na Strykowo. Dnia 11. września wieczorem maszerujemy całym III batalionem na wypad nocny na Biesiekierz Rudny. Celem tej wyprawy jest udzielenie pomocy innemu batalionowi 17. dywizji piechoty w jego natarciu oraz przeszkodzeniu w ruchu nieprzyjaciela na szosie Celestynów-Stryków. Batalion szedł szykiem zwartym, wyprzedzony szperaczami na czele, w środku bateria artylerii strzeżona z obu stron rozpołowioną kolumną piechoty. Wszyscy z bagnetami na broni. Po dojściu, do szosy Zgierskiej zmieniliśmy kierunek z zachodniego na południowo—zachodni. Po kilkuset metrach odezwały się pierwsze pojedyncze strzały, sygnalizujące spotkanie z nieprzyjacielem. Nie przerywając marszu, po kilkudziesięciu metrach uderza w nas lecący tuż nad szosą, torem poziomym pocisk świecący, mój nieznaną sąsiad z prawej o którego w marszu się ocierałem pada martwy bez słowa. Idziemy dalej, po prawej stronie szosy widzimy budynki, budynek mieszkalny wysunięty na szosę, typowy dla drogomistrzów, z tyłu zabudowania gospodarcze. Podchodząc bliżej, a właściwie osiągnając

już prawie ich wysokość, nagle otrzymujemy silny ogień karabinowy w tym również z karabinu maszynowego z tyłu budynków z różnych jego miejsc i wysokości. Trwa to dłuższy czas, zaskoczony batalion leży, skupienie fatalne, ponosimy straty. Po ustaniu strzałów nasza drużyna jako pierwsza na czele batalionu zostaje wyznaczona na patrol spenetrowania lewej strony otwartego pola po las. Idziemy tyralierą. Po przejściu 500-800 m zbliżamy się do lasu i to bardzo blisko. Nagle słyszymy stłumiony rozkaz „schisen”. Mój sąsiad już chłopcem będąc wrócił z Westfalii, tłumaczy mi, że to znaczy strzelać. Padamy w orkę, a później wycofujemy się do pierwszej bruzdy i sami ostrzeliwujemy brzeg rozległego lasu. Odpowiadają nam na całej linii lasu pociski raketowe oświetlające przedpole. W tej sytuacji bez strat wracamy do swoich. Po drodze spotykamy gońca z rozkazem powrotu. Batalion zastajemy w przygotowaniu do odwrotu. Jest wiele rannych, gorzej poszkodowani lokowani są na wozach, mniej - prowadzeni pod pachę przez kolegów. Wracamy w kierunku północnym, do Kwilina. Na resztę nocy pluton nasz ulokował się w dużej izbie szkolnej i choć byliśmy bardzo zmęczeni, niewiele zaznaliśmy tam snu. Przez całą noc ostrzeliwani byliśmy gęsto przez artylerię. Budynek i szyby trzęsły się od wybuchów. Wczesnym rankiem, dnia 12. września zmuszeni byliśmy zorganizować się obronnie w rejonie Gozdów. Nowo zajęta linię utrzymaliśmy do zmroku, z zamiarem ponownego uderzenia nocą i opanowania lasu Pludwiny i biegnącej za nim szosy - arterii komunikacyjnej nieprzyjaciela. Tylko noc dawała nam szansę jakiegoś sukcesu, uniknięcia skutków jego przewagi za dnia,

przewagi ognia artylerii, broni pancernej, lotnictwa. Nasze działania zaczepne miały utorować drogę i stworzyć dogodniejsze warunki do dalszych przedsięwzięć już przy współdziałaniu z Wielkopolską Brygadą Kawalerii i Armii Pomorze. Tak się jednak nie stało. Wieczorem zamiast spodziewanego ataku naprzód, otrzymaliśmy nieoczekiwany rozkaz natychmiastowego wycofania się na północny brzeg Bzury. Trudno, żołnierz nie komentuje rozkazów, żołnierz je wykonuje i wiemy, że wypływają one z decyzji dowódcy i jego sztabu, a więc z konieczności dostosowania się do sytuacji ogólnej frontu. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że wraz z naszym odwrótem oddajemy inicjatywę w ręce nieprzyjaciela, a znaczące przecież sukcesy naszej trzydniowej bezustannej walki nie zostaną należycie wykorzystane. Odwrót odbył się z zachowaniem dużej ostrożności, ponownie już za dnia przez miasto Piątek i jego pobojuwisko, z zachowaniem zabezpieczenia przepraw przez Bzurę i stałą gotowością do odparcia ewentualnych zaskoczeń. Nieprzyjaciel bowiem po poniesionych znaczących stratach w ludziach, sprzęcie i utracie około 25km w terenie, wyraźnie okrzepł. Został wzmocniony nowymi siłami, przegrupował się i stać go było nie tylko na czołowy opór, ale na wnikanie we wszystkie luki i szczeliny, pościg, a nawet na atak. Poznać to można było po wzmożonych łunach pożarów, częstotliwości ognia artylerii i bezpośredniej styczności. Najwięcej obaw sprawiała jego broń panc., która z uwagi na szybkość mogła zagrozić w każdej chwili i z każdego kierunku, nie mówiąc o lotnictwie, które w czasie dnia zawsze było groźne. Noce z dnia 13 na 14 i z 14 na 15 września poświęciliśmy na ostrożne powolne

przesuwanie się północną stroną Bzury w ogólnym kierunku na Sochaczew z myślą sforsowania Bzury i otwarcie sobie drogi do Warszawy. Wszystkie te informacje, od początku działań, otrzymywaliśmy od naszych bezpośrednich przełożonych tj. d-cy plutonu ppor. rez. Zygmunta Szatkowskiego, który je przynosił bezpośrednio z odpraw oficerskich. Wiele też podawane było oficjalnie w rozkazach lub przed podjęciem szczególnej akcji. Wiele również wiadomości pochodziło z rozmów podsłuchanych, między wyższymi oficerami, które systemem szeptanym przechodziły od żołnierza do żołnierza. Muszę zaznaczyć, że stosunki między oficerami wszystkich szczebli, a żołnierzami były bardzo poprawne, nie było tu nic z życia koszarowego, a wprost przeciwnie. W obliczu wspólnego zagrożenia były one po prostu jakby rodzinne. Wszyscy byliśmy jednakowo zmęczeni, jednakowo niewyspani i często jednakowo głodni. Nikt w niczym się nie wyłamywał, nie podpadał, wszyscy starali się zachować samodyscyplinę i należyty szacunek dla przełożonych. Niemniej wyczuwaliśmy, że nadchodzi jakiś kulminacyjny moment naszych zmagania, czuło się groźbę nadchodzącej bitwy. Poznaliśmy się nawzajem na tyle dobrze, że każdy wiedział kto jest kto. W takim nastroju oczekiwania pozwoliliśmy sobie na zdjęcie naszych oznak podoficerskich, co było ogólnie tolerowane.

Byliśmy kilka km na południe od Sochaczewa, w odległości około 60 km od Warszawy. Wiedzieliśmy, że przed nami nieprzyjaciół dobrze uzbrojony, posiadający liczną broń pancerną i wszelkie środki szybkiego przemieszczania, wsparty silnym lotnictwem, mogący nas w każdej chwili zaskoczyć i inicjować czas

i miejsce spotkania. Aktualne jednak jego położenie, ruchy, a tym bardziej plany nie były nam znane. Rozpoznania nasze prowadzone przez patrole i zwiady, były powierzchowne, dotyczyły tylko patrolowanego odcinka i na obecność nieprzyjaciela dawało zaledwie odpowiedź tak lub nie. Nie mieliśmy już w tym czasie żadnego lotnictwa i pozbawieni byliśmy zupełnie szerszej informacji o przeciwniku i wyborze najłatwiejszej drogi do Warszawy. W nocy z dnia 15 na 16 września nasz III bat. 57 pp maszerował ostrożnym marszem w kierunku szosy Łowicz - Sochaczew po linii drogi Jeziorki-Złota-Emilianów. Już o wczesnym świcie dochodząc do lasu Emilianów, zostaliśmy stamtąd silnie ostrzelani i zmuszeni do zatrzymania się. Batalion zaległ w rowach po obu stronach drogi, które dawały mu tymczasowe schronienie. Po pewnym czasie rozpoczęła ostrzeliwać nas artyleria. Pociski padały często i blisko siebie, objęły szerokość kilkudziesięciu metrów po obu stronach drogi. Ogień artyleryjski kierowany był bardzo systematycznie i stopniowo przenoszony od czoła batalionu a więc od lasu Emilianów aż po Jeziorki. Pole zostało zryte przez pociski, a batalion wycofując rozproszył się. Po ustaniu tej nawały w najbliższym otoczeniu zaległa cisza. Z kierunku północno-wschodniego i wschodniego dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów. Żołnierze powoli zaczęli się zbierać, nie było wśród nich ani jednego oficera. Było to w pobliżu folwarku Złota, 8 godz. a może trochę później. Mgła powoli zaczęła opadać, przedpole jednak nadal mało widoczne. Ponieważ odgłosy strzałów z kierunku północno-wschodniego zaczęły się wzmacniać, postanowiliśmy przyjąć postawę obronną, właśnie w tym

kierunku. W tym celu, z braku oficerów lub starszych szarżą podoficerów przejęliśmy obaj z moim dowódcą drużyny (19-letni ochotnik, po ukończeniu szkoły podoficerskiej, kapral) tymczasowe dowodzenie batalionem (100-150 żołnierzy). Przeszliśmy na wysokości folwarku Złota jakąś przecinką przez lasek-park na jego północną stronę i tam w tyralierze, na jakiejś pobliskiej skarpie, przyjęliśmy postawę obronną, z postanowieniem czekania na dalszy bieg wydarzeń. Nie trzeba było wcale czekać. Jeszcze w czasie naszego formowania się i to wcale nie ze strony nieprzyjaciela, mianowicie z lewej, a więc północnej strony, poprzez otwarte pole, nadszedł do nas jeden, sam nieznan nam oficer, w randze porucznika, w wieku ok. 30 lat, nienagannie ubrany i ogolony z odświętymi dystynkcjami, jakby co dopiero wyszedł z koszar, nie robiący wrażenia rezerwisty, ani oficera, który zaliczył dotychczasowe trudy marszu i walki i nie przedstawiając się buchnął do nas podniesionym głosem „co to za wojsko, co tu robicie?” Powtarzał to szereg razy, od początku w tonie bardzo agresywnym wprost terrorystycznym, jakby chcącym nas z miejsca zniewolić. Było to zachowanie prowokacyjne nie do przyjęcia i widocznie tak odebrane przez wszystkich. Z lewego skrzydła odezwał się donośny głos jednego z żołnierzy „Ten oficer co tak krzyczy- do przodu!” gdy na tę uwagę nie było żadnej reakcji i potraktowana została jakby jej nie było słyhać, wówczas znowu z lewego skrzydła jakby dla przypomnienia z regulaminu wojskowego gdzie powinien znajdować się oficer w czasie ataku powtórzono jeszcze głośniejsze „Ten oficer co tak krzyczy - do przodu!” tym razem reakcja była natychmiastowa:

„Kto to krzyczał? kto to krzyczał?” „To Wy, Wy” wyciągając krótką broń i mierząc w kolegę (dowódcę drużyny, najmłodszy z grupy miał 19 lat, reszta to rezerwiści) dał rozkaz „Padnij”. Było to zaledwie 4 kroki ode mnie. Sytuacja stała się tak drastycznie napięta, że trzeba było natychmiast coś zrobić. Wstałem więc podszedłem do niego zdecydowanie i powiedziałem „Panie poruczniku to jest kapral, d-ca drużyny znam go i gwarantuję, że on nic takiego nie powiedział. Proszę dać mu spokój. „Ach to jest kapral” - odpowiedział „Wobec tego pójdzicie do przodu i sprawdzicie kto tam strzela. Ludzi dobierzcie sobie sami, na ochotnika”. Czując się w jakiś sposób związany z nowopowstałą sytuacją zgłosiłem się i ja do owego patrolu. Pomysł wysłania patrolu w tak równym i gołym polu, poza tym zrodzony tak nagle i w takich okolicznościach - wydawał się z miejsca wysoce podejrzany. Pamiętam doskonale, że od samego początku zwróciłem szczególną uwagę na polszczyznę tego oficera, była ona jednak nienaganna, nie miała żadnych akcentów dzielnicowych, kapral miał wtedy lat 19 ja 23. Zebraliśmy się prawie natychmiast w pięciu ochotników, sprawdzonych chłopców naszej drużyny i ruszyliśmy w pewnym dowolnym rozrzuceniu, w kierunku wschodnim, oczywiście otwartym polem. Za sobą zostawiliśmy nieznanego nam oficera i około 50% ówczesnego stanu żołnierzy III Batalionu 57 pp. Nie wiedziałem wówczas, że nigdy już nie spotkam się z nimi, a nawet nie dowiem się o ich losie. Po przejściu około 350-400 m zostaliśmy z czoła zaskoczeni z zaledwie 40 m huraganowym ogniem karabinu maszynowego. Padliśmy wszyscy na świeżą orkę, ja obok kolegi, reszta około 20m od siebie. Nigdy w życiu

przed tym, ani po tym nie pracowałem tak szybko łopatką aby usypać zbawienny pagórek przed głową, chroniący żołnierza przed śmiercią. Kule padały gęsto przed, obok, za nami. Po pewnym czasie, widocznie uznając nas za załatwionych, ogień przeniesiono ponad nami na rozłożony w polu, a opuszczony przez nas batalion. Trwało to najmniej kilkanaście a może kilkadziesiąt minut. Sytuacja nasza była prawie beznadziejna. Po sprawdzeniu wzajemnym z kolegą, że żyjemy i nie jesteśmy nawet ranni postanowiliśmy wykorzystać chwilowe milczenie i wycofać się prostopadle do linii ostrzału, do tyłu, bez zmiany pozycji, a więc nogami do przodu, do biegnącej w poprzek 10-15m za nami dość głęboko wyoranej bruzdy. Udało się, jesteśmy w bruzdzie, ale co dalej? Rozglądamy się, koledzy również w bruzdzie, a może przebywają w niej od początku bo szli nieco z tyłu, żyją. Kolega postanawia uciekać do tyłu, stanowczo odradzam, ale gdy nie wytrzymuje nerwowo i zabiera się do skoku, zatrzymuję go z całych sił za nogę i zmuszam do pozostania w bruzdzie, Uważałem, że ucieczka do tyłu, około 400m otwartym polem, nie ma żadnych szans. Potwierdziła to scena, którą za chwilę mieliśmy ujrzeć. Mianowicie jeden z kolegów z patrolu, oddalony od nas około 30m wybrał taką ucieczkę, po przebiegnięciu około 8m dosięgła go śmiertelna seria, drugi oddalony od nas około 10m zdążył zaledwie poderwać się i przebiec około 4-5 m, zawołać urwane „Jezu” i paść celnie trafiony. Co się stało z trzecim, ostatnim członkiem patrolu, nie zdążyliśmy ustalić. Kolega wobec takiego dramatu, oddał mi całkowicie inicjatywę.

Plan mój był zawily, do wykonania szalenie ciężki, ale przy sprzyjających okolicznościach i szczęściu dawał przynajmniej jakąś szansę wyjścia z tej przeklętej pułapki. Przedstawiłem go koledze: nie wolno nam opuszczać bruzdy. Będziemy się czołgać najniżej, po brzuchu, około 400m wzdłuż niemieckiej linii, w oddaleniu zaledwie 40m od nich, aż do wylotu tej bruzdy i styku pola z lasem Emilianów, jego północnego skraju. Sto metrów dalej prowadzi poprzeczna droga Jeziorki - Dębie. Co prawda, o świcie, z lasku tego ostrzelano nas, ale może do tej pory sytuacja się zmieniła. Próbować trzeba, innej drogi nie ma. Zmieniliśmy się miejscami, wyszedłem na czoło i rozpocząłem najdłuższe czołganie w moim życiu. To nic że strzelają do nas, a właściwie do naszych wystających z bruzdy tornistrów. Pole jest długie i wyraźnie majątkowe, bruzda prosta i choć końmi ale na szczęście starannie wyorana. Po kilkudziesięciu minutach dotarliśmy do wspomnianego lasku. Lasek jest okolony suchym rowem, zarośniętym krzaczkami, co pozwala nam w pochylonej pozycji iść ostrożnie w kierunku drogi. Około 40m od drogi nagle, z bardzo bliskiej odległości pada strzał, a kula świsnęła obok mojej głowy. Na wszelki wypadek krzyczę „Nie strzelać to swoi”. W odpowiedzi słyszę repetacyjny trzask zamku i widzę poprzez wysokie zarośla równoczesny ruch hełmu w prawo, a na lewej jego stronie jakąś białą plamę. Odległość 4m - to hełm obcy, nie nasz, a więc niemiecki. Jestem już spóźniony. Wyskakuję końskim susem w las. Na szczęście nie widać nikogo. Kolega trzyma się razem, między drzewami ile sił w nogach, cofamy się ponownie do północnego skraju lasku Emilianów. Tu jest jeszcze

jedna, ostatnia szansa ratunku. Przeskoczyć otwartą przestrzeń między laskiem Emilianów, a parkiem folwarku Złota - odległość około 60m. Instruuje kolegę: jednym najszybszym, najszybszym skokiem, jeden w przedzie, drugi 10m za pierwszym, wybieraj swoje miejsce, kto pierwszy?. Kolega wskazuje na mnie. Bez namysłu rzucam się do biegu. Kolega nie wytrzymuje nerwowo, a może intuicyjnie pragnie być osłonięty przeze mnie, biegnie tuż obok. Już od samego początku otrzymujemy silny ogień karabinów maszynowych, z flanki strzela nie jeden karabin, z okolicy drogi na Jeziorki, odległość może 80m. Kule towarzyszą nam rojem przez cały czas biegu, świstają wszędzie i koszą łąciny ziemniaków. Głęboko zastanawiające jest to, że nas nie trafiają! Czyżby rzeczywiście „Pan Bóg kule nosił”?. Jakby tego było mało, po dobiegnięciu do zbawczego, wschodniego skraju parku Złota słyszymy złowrogi świst nadlatującego pocisku artyleryjskiego i wraz z naszym padnięciem, jego piekielny wybuch, który podrzuca nas najmniej kilkanaście centymetrów w górę i obrzuca ziemią. Nie ma chwili czasu, nawet na wzajemne sprawdzenie, bo za chwilę padnie tu następny pocisk i może się okazać w skutkach gorszy, Po pospiesznym wycofaniu się około 300m południowym skrajem parku natrafiamy na jakieś polskie porzucone sorty mundurowe, plecaki, fragmenty uprząży, siadamy na tym i spoglądając na siebie bez słowa i około 15-20 minut odpoczywamy. Następnie zrzucamy nasze plecaki, są poprzestrzelane, ciężkie i przeszkadzają. Dobieramy z porzuconych nowe, długie ciepłe, zapewne artyleryjskie płaszcze (przeszedł całą niewolę i wrócił do Polski) w miejsce naszych krótkich i starych. Pasują.

Wymieniamy również manierki. Pozostawiamy tylko łopatki, chlebaki i uzbrojenie, resztę uznaliśmy za zbędne. Zaczynamy się znowu uśmiechać do siebie i życia. Powoli nad parkiem wracamy do Jeziorka. Tu spotykamy na początku wsi porucznika rez. Szatkowskiego, który chce nas zabrać do ataku na las Emilianów. Odpowiadamy, że właśnie wracamy stamtąd i nie jesteśmy w stanie wziąć ponownie udziału. Porucznik był bardzo wyrozumiały i po wysłuchaniu naszych relacji zwolnił nas. Odpoczywamy krótko na pierwszym podwórku gospodarczym. Trwa jednak na szerokim froncie wymiana strzałów pojedynczych, maszynowych, artyleryjskich. Wychodzimy z podwórza. Walka trwa w okolicy folwarku Złota, służba sanitarna znosi rannych do tamtejszych zabudowań. Wygląda na to, że nasi są atakowani. Skradamy się znowu do przodu. Na wysokości Złota spotykamy znowu naszego dowódcę plutonu. Uderzenie jest silne, nasze rozrzedzone szeregi nie wytrzymują. Zginął tu nasz d-ca batalionu mjr Kępiński, zmuszeni jesteśmy do odwrotu, Na przodzie wsi Jeziorko, między drzewami ustawiona armata z obsługą, dowodzi major. To on zatrzymuje wszystkich i z bronią w ręku bierze pod swój rozkaz wycofujących się, i stwarza ostatnie gniazdo oporu. Prócz armaty jest działko przeciwpancerne, karabin maszynowy, ręczny karabin maszynowy, reszta strzelców - w sumie 16 osób. Major rozstawia obecnych, ustala kierunki i zapowiada, że cofnąć można się będzie tylko na jego osobisty rozkaz. Jesteśmy pod ostrzałem. Klasycznego natarcia piechoty na przedpolu nie widać. Niemcy nacierają czołgami, piechota wykorzystuje ich obecność i wszystkie inne zasłony terenu. Do nas zbliżają się

czołgi z północno-wschodniego kierunku. Na nich skierowane są lufy armaty i działka ppanc. Padają strzały, podobno są trzy trafienia i następuje ich zatrzymanie. Wymiana ognia trwa, a nawet wyraźnie wzmagają się. Stanowiska nasze są najzwyczajniejsze, jak popadło, pozbawione jakichkolwiek zasłon lub choćby wgłębień terenowych. Niemcy naciskają, jest coraz goręcej, Major bardzo czynny, stale na stojąco, pomaga nawet przy obsłudze działa, ale nie spuszcza oka z całości. Nagle widzimy, że major krwawi, prawdopodobnie ręka, ale dalej na posterunku. Po pewnym czasie słyszymy rozkaz majora „Kto żyje, do tyłu”. Ogarniamy wzrokiem to gniazdo, nikt się nie podnosi, tylko my dwaj z kolegą możemy jeszcze ten rozkaz wykonać. Nie ma czasu. W sukurs niemieckiemu natarciu przychodzą samoloty. Z tyłu wznecają się coraz to nowe pożary. Nie tylko bombardują, ale z broni pokładowej strzelają do wszystkiego co się rusza. Byliśmy kilkakrotnie obiektem ataku samolotu w naszej ucieczce poprzez otwarte pole, chociaż byliśmy tylko we dwóch i jakiś dwukonny zaprzęg taborowy. Intuicyjnie wybraliśmy kierunek północny, byle dalej. I tak po bardzo długim biegu dotarliśmy do szosy zachód-wschód, a której panował już jakiś ruch przeważnie w kierunku wschodnim. I tu nasze drogi z kolegą, z którym tyle przeszliśmy szczególnie tego dnia przeżyć - rozeszły się. On poszedł szosą z falą ogólnego ruchu na wschód, ja celem uniknięcia niebezpiecznych nalotów - w przeciwną stronę. Tu wszedłem na dość pokaźne, piaszczyste wzgórze, zająłem miejsce obok jakiejś nory, oparłem się o sosnę i po prostu bardzo chciałem odpocząć. I choć byłem tu zupełnie sam, nie znalazłem

chwili czasu na jakiegokolwiek kontemplacje. Na moich oczach w odległości około 200m odgrywał się okropny dramat naszych taborów, podążających wężowem leśnym ku szosie. Zostali odkryci i zaatakowani przez lotnictwo. Aż strach było patrzeć co tam się działo. Po spuszczeniu bomb, samoloty „stukas” opuszczały się ponad drzewami i ostrzeliwały z pokładów to kłębowisko powalonych wozów, koni, wszelkiego rodzaju sprzętów saperskich, czołn, pontonów, kuchni itd. itp. Po odlocie jednych, nadlatywały następne, powtarzając bezkarnie to barbarzyństwo. Choć z doświadczenia wiedziałem że nic z tego, nie wytrzymałem, strzelałem i ja z mojego kb. do tych drani, celując długo i dokładnie. Po upływie około dwóch godzin wróciłem na szosę, tym razem już mało ruchliwą i samotnie poszedłem na wschód. Blisko przed zmrokiem znalazłem się na przedpolu Sochaczewa. Mimo woli byłem tu świadkiem rozwiniętego natarcia 68 pp. na Sochaczew. Było to bardzo zdyscyplinowane wojsko, widać nie uszczuplone w stanie, wykonujące ruchy do przodu klasycznie i wróżące powodzenie. Niestety nie miałem sił, ani ochoty dołączyć do nich. Byłem zbyt zmęczony i głodny. Pociągnąłem nogi na północ, początkowo szosą, a potem w las. Na drugi dzień, 17. września wyszedłem na szosę i poddając się jak gdyby prawu bezwładności, szedłem jak inni żołnierze i tam gdzie inni żołnierze, a żołnierzy było coraz to więcej. Taki ruch doprowadził nas w jakąś enklawę leśną, gdzie odbywała się koncentracja kawalerii i pieszych rozbitków wszelkich formacji i maści. Tu spotkałem znajomego ułana Pałasza, który poinformował mnie, gdzie znajdują się skrzynie z żywnością oraz wskazał kuchnię polową, która dymiła i za chwilę miał

być ciepły obiad. Brak jedzenia wtedy nie liczył się na godziny, ale na dni. Do magazynku z żywnością było dla mnie, jako pieszego zbyt daleko, natomiast kuchni postanowiłem pilnować, nie stracić jej z oka, być cały czas blisko. Niestety radość trwała zbyt krótko. Niemcy zaczęli ostrzeliwać artylerią całą tę enklawę. I jak to nie tylko w powieściach, ale i w życiu bywa, jeden z pierwszych pocisków trafia w sam środek kuchni i całą nadzieję na ciepły posiłek diabli wzięli. Ułani oczywiście pokłusowali, a my piesi, znowu w bezwładzie, jak biblijni pielgrzymi tą samą drogą wracamy, bliżej Bzury. Jest nas już nie kilkudziesięciu, ale kilkuset. Między innymi rozpoznaje mojego instruktora z 48 pp. w Stanisławowie. Był to chłopiec rzeczowy, inteligentny, o szerokim horyzoncie, pochodzenia żydowskiego. Lubilem go. Widzę, że jest bez broni, hełmu i pasa. Bardzo ucieszyliśmy się z tego spotkania. Ku memu wielkiemu zdziwieniu wyjaśnia, że uciekł z niewoli niemieckiej. Niemcy go zagarnęli, rozbili i nie bardzo się nim interesowali, a nawet jakby dawali szansę powrotu i on z tego skorzystał. Przed wieczorem spotkałem jeszcze jednego znajomego z mego miejsca pracy. Był to starszy, bardzo przyzwoity, zmobilizowany żołnierz taboru. Posiadał dwa konie, furmankę chłopską, a na furmance wiozł na słomie jednego rannego żołnierza. Radość była wzajemna, postanowiliśmy nie rozstawać się. Ulokowaliśmy się na jakimś podwórzu chłopskim. On przewinął ranę choremu, napoił i nakarmił konie, podzielił się chlebem i kawałkiem wędzonej słoniny i tam spędziliśmy noc. Następnego dnia, 18 września od rana ostrzeliwuje nas artyleria. Jest to ostrzał strategiczny, chyba z daleka, pociski padają to tu to tam.

Nie jest źle, ale dyżur trzeba trzymać. Wjechaliśmy do jakiegoś ogrodu, ja trzymam dyżur, a znajomy wyszedł rozglądać się i zaciągnąć wiadomości. Artyleria nęka nas cały czas, samoloty również przelatują i mogą nas w każdej chwili zaatakować. Późnym popołudniem organizuje się ochotnicza formacja najrozmaitszych rodzajów broni, żołnierzy zdeterminowanych przejść Bzurę i przebijać się do Warszawy. Wjeżdżamy w sam środek kolumny, wciąż dochodzą nowi żołnierze, Nie widać początku ani końca, jest nas może 300 może 500 ludzi. W przodzie strzelanina, częściej z karabinów, rzadziej z broni maszynowej. Łączność ustna, przekazywana zasięgiem słyszalności, od przodu do tyłu najczęściej "artyleria przedłużyć ogień" rzadziej „artyleria w lewo” lub „artyleria w prawo”. Z tyłu jedno lub dwa działa wspierające natarcie. Łuny pożarów, jak co dzień, towarzyszą dokoła. Idziemy do przodu, jakby siłą wieczornego rozpędu, jednak z coraz częstszymi przerwami na oczyszczenie przedpoła. Wśród stałej strzelaniny, około północy, a może trochę później docieramy do Bzury. Bzura okazuje się nie głęboka, po pas. Tabory kierowane są na specjalny tor z łagodnym wjazdem i wyjazdem, lekko pod prąd. My rannemu podścielamy wyżej słomę, sami okrakiem stajemy na ścianach wozu i troskliwie głosami kierowani docieramy na drugi brzeg. Nikt z nas nawet się nie zamoczył. Na drugim brzegu zastajemy palące się samochody ciężarowe niemieckie. Czekamy aż przejdzie cała karawana, następnie, jakby od początku rozpoczynamy nasze rozpaczliwe przedzianie się. Niemcy jakby celowo ustępują, zostawiają wolną drogę, aby następnie z flanki z furją zaatakować z broni maszynowej pociskami

fosforowymi, a być może i z czołgów. Bo jakże inaczej wytłumaczyć, gdy strzela cała ściana lasu i ogniem dyktuje czas postoju. Operacje te się powtarzają najczęściej w podobnych warunkach. Jest nas coraz mniej, niektórzy zmieniają kierunki, tworzą mniejsze grupki, inni ograniczają się tylko do znajomych. Rano stwierdzamy dalszy odpływ. Puszcza Kampinoska nie jest wcale całą puszczą. Są w niej łąki pola i wsie wcale nie rzadko, a lasy są różne - często mizerne. W takich warunkach o decyzję trudno. Rano stwierdzamy, że w końcu zostało nas sześć osób. Ale jest kompas i mapa, według namiaru w linii prostej do Warszawy mamy 20 km. Wtedy Pan nasz oświadczył, że musi napić i nakarmić konie i w tym celu powinien udać się do gospodarza, który posiada studnię i choć trochę siana. Wobec takiego dictum, trzech z nas poszło lasem na wschód, by kontynuować przedzieranie się, a my postanowiliśmy obserwować najbliższą wioskę, czy można się o nią zaczepić. W tym celu podjechaliśmy bliżej i z lasu rozpoczęliśmy pilną obserwację. Stwierdzając ogólną ciszę i brak jakiegokolwiek ruchu po kilkudziesięciu minutach postanowiliśmy wjechać do wioski przez pole i ogród, od strony tylnej zabudowy i z dala od drogi głównej. I tak znaleźliśmy się na środku podwórka, bez otwierania bramy. Wtedy z chałupy wyszedł gospodarz, a nasz przewoźnik uczciwie przedstawił co nas tu sprowadziło. Poza naszą wiedzą dodał, że na wozie ma piękne buty oficerskie i chciałby w zamian otrzymać syte śniadanie z gorącą kawą dla trzech ludzi bardzo głodnych zwłaszcza, że jeden z nich jest ranny. Następnie obejrzeni buty i gospodarz udał się do chałupy na naradę z żoną. Targ został ubity,

gospodarz przyniósł siano i zniknął, pan nasz napoił konie, a gospodyni rozpałała ogień, zaczęła smażyć wędzoną słoninę pod pełną patelnią jaj. My tymczasem korzystając trochę z wolnego czasu i naszej obecności przy studni, postanowiliśmy się umyć, ogolić i doprowadzić trochę do porządku. Po tej czynności, czekając na zaproszenie do stołu, wyszliśmy z podwórza na drogę i rozglądaliśmy się po okolicy. Nagle od strony wschodniej pojawiła się kolumna 22 czołgów i kompania motocyklistów. Zatrzymali się na drodze głównej, na środku wsi. Po krótkim czasie, choć nie biliśmy widoczni, jeden motocykl z przyczepą i trzema żołnierzami skierował się boczną drogą, z wymierzonymi karabinami prosto do nas. Z odległości około 30 m padł strzał nad naszymi głowami. Inni strzelali do uciekających pojedynczo przez łąki naszych żołnierzy. Sytuacja była zupełnie jasna. Nie ruszając się z miejsca podnieśliśmy ręce w górę. Oni podjechali do nas na odległość 2 m, zeszli z motoru i kazali karabiny, amunicję, noże, brzytwy rzucić do rowu i jakby od niechcenia pomacali niektóre nasze kieszenie, czy coś nie pozostało. Poinformowali, że mamy sami udać się wskazaną drogą do następnej wsi i tam na początku jest punkt zborny dla nas, tam jest kuchnia, dostaniemy obiad i zaopiekują się nami. Nasz kolega od koni, jak już wspomniałem, był ode mnie znacznie starszy, i znał dość dobrze język niemiecki. Niemcy, zwłaszcza starszy leutnant, uznał za stosowne poinformować nas dodatkowo, że wkrótce wojna się skończy i pójdziemy do domu. Radio od dwóch dni informuje, że Rosjanie dnia 17 września przekroczyli granice i zajmują tereny wschodnie Polski. Wiadomością tą dzielili się z bardzo

zadowoloną miną, tym większą, że wiedzieli, że my nic o tym nie wiemy, i że oni są pierwszymi, którzy nam o tym mówią. Zasalutowali i odjechali do swoich. I prawie zaraz cały ten konwój ruszył prosto drogą dalej, pozostawiając wioskę i nas w takim spokoju w jakim na początku żeśmy ją zastali.

A więc stało się! W wojsku owszem, ćwiczyliśmy przyjmowanie i traktowanie parlamentariuszy, nawet sytuacje dostarczenia żywego jeńca, celem zasięgnięcia języka, ale nigdy nie przypominam sobie ćwiczenia własnego poddania się!. Tymczasem w naszym przypadku stało się to tak niespodziewanie z zachowaniem wszystkich niepisanych form, jakby według przeciwzonego protokołu. Na uboczu leżą nasze nietknięte karabiny z zamkami, amunicja, nawet granaty - tylko podnieść i walczyć dalej. To jednak w naszej sytuacji i pod wpływem zasłyszanych wiadomości nie miało już sensu. W wiadomość przekroczenia granicy przez Rosję uwierzyłem od razu. Moją aktywną służbę wojskową odbyłem w latach 1937/38 na południowo wschodnim krańcu Polski w 48 pp. w Stanisławowie. Z ćwiczeń pułkowych i słynnych wielkich manewrów w 1938 r. znałem Nadworne, Kołomyję, Stryj, Tarnopol, Zborów, Zbaraż, Brody i Halicz, cały ten pas wschodni od Zaleszczyk po Kowel. Miałem rozeznanie mniejszości narodowych, przebywałem wśród nich, czułem ich nastroje i dążenia. Nad tym wszystkim jednak wisiała największa groźba porozumienia się między Rosją a Niemcami, które mogło odbyć się tylko naszym kosztem. A przecież pierwszy krok w tym kierunku został już zrobiony w sierpniu właśnie. To było przyczyną mojej wcześniejszej mobilizacji. Teraz

mieliśmy już do czynienia z jego realizacją, czyli IV rozbiorem Polski. Ale wojna dopiero się zaczęła i nikt nie był w stanie przewidzieć jej dalszych losów.

Nasz wyjazd do punktu zbornego postanowiliśmy zrealizować po zjedzeniu śniadania. Pomogliśmy rannemu zejść z wozu i weszliśmy razem do kuchni. Gospodyni postawiła na stole ogromny bochen chleba domowego wypieku, częściowo pokroiła w kromki, obok ustawiła patelnię z jajecznicą i nalała w kubki gorącej kawy zbożowej. Nie mogę jednak pominąć faktu, że gospodyni przez cały czas ani razu nie spojrzała na nas przyjaźnie, odpowiadała tylko na pytania, ale jakoś chłodno, biła od niej jakaś obcość. Gospodarz był więcej rozmowny, odpowiadał na nasze pytania. Dokładnie określił jak dojedziemy do następnej wsi, a na moje pytanie jak nazywa się ta miejscowość odpowiedział: Famułki Królewskie. Powtarzałem szereg razy tę nazwę, aby utrwalić ją w pamięci jako miejsce, gdzie coś się skończyło, a coś nowego zaczęło się.

Wyjeżdżając ze wsi zauważyliśmy znowu Niemców, a wśród nich naszego znajomego gospodarza instruującego ich i wskazującego gdzieś ręką. Od postronnych ludzi dowiedzieliśmy się że był to Volksdeutsch. To rzeczywiście trzeba mieć pecha. Po przejechaniu około 20km w kierunku wschodnim dojechaliśmy do wsi i w pierwszym gospodarstwie po lewej stronie umieszczono nas w stodole, gdzie przebywało już kilku naszych i dochodzili co pewien czas wciąż nowi. Nie tracąc czasu ulokowaliśmy się w wygodnym miejscu na słomie i głęboko zasnęliśmy.

Wspomnienia dziadka opracował Daniel

„Ostatni awans”

Mój tata, Władysław Chromiński, urodził się 12 grudnia 1924 r. Kiedy wybuchła II wojna światowa miał niespełna 15 lat. Można powiedzieć, że wojna zabrała mu to, co dla nastolatka jest czymś najważniejszym: młodość, poczucie bezpieczeństwa, możliwości i marzenia. Do tej pory bardzo niechętnie wraca myślami do tamtych czasów i niechętnie dzieli się wspomnieniami.

W maju 1942 r., w miejscowości Ługi Wielkie, jako prawie 18-letni chłopak wraz z kilkoma innymi kolegami, złożył przysięgę przed porucznikiem Czesławem Ługowskim ps. „Kobus”, który był dowódcą lokalnej grupy AK, stając się tym samym jednym z nich i przybierając pseudonim „Sokor”. Grupa ta wchodziła w skład ośrodka „Wierzba” działającego na terenie m.in. Zbuczyna, gdzie dowodził kpt Bolesław Próchenka ps „Lot”. Ośrodek „Wierzba” był jednym z wielu ośrodków (było ich w sumie 9) wchodzących w skład siedleckiego obwodu AK. Obwód ten, noszący konspiracyjny kryptonim „Sowa”, ogarniał swym zasięgiem mniej więcej przedwojenny powiat siedlecki i podobnie jak w całym kraju dzielił się na ośrodki i placówki (odpowiadające gminom oraz miejscowościom lub grupom miejscowości). Zgodnie z założeniami organizacyjnymi obwód siedlecki „Sowa” wraz z obwodem sokołowskim miały odtworzyć strukturę

stacjonującego przed wojną w stolicy Podlasia 22 Pułku Piechoty, czyli w praktyce prawie każdy ośrodek miał wystawić kampanię żołnierzy. Wyznaczone też zostały dla poszczególnych oddziałów miejsca koncentracji, najczęściej w najbliższych skupiskach leśnych. Dowódcą obwodu siedleckiego „Sowa” był mjr Marian Zawarczyński ps. „Ziemowit”.

W czasie działalności w „Wierzbie” tata brał udział w realizacji wielu konspiracyjnych, codziennych zadań. Z tych najważniejszych wymienię tylko te najważniejsze: niszczenie kart ewidencyjnych młodzieży z terenu gmin Zbuczyn i Tarcze, przeznaczonej na wywiezienie do Niemiec na przymusowe roboty, brał udział w zbrojnej ochronie działającej w Krzymoszach radiostacji, a w 1943 r. brał udział w akcjach przejmowania zrzutów na teren miejscowości Modrzew i Kwasy. Podczas wycofywania się wojsk niemieckich na zachód w 1944 r., uczestniczył także w rozbrajaniu żołnierzy niemieckich. Pamięta, jak w czerwcu 1944 r., w jego rodzinnym obejściu w Zdanach, zatrzymali się, w trakcie wycofywania, żołnierze niemieccy na postój i jak cichcem w nocy zabrał im jeden z przewożonych przez nich w samochodzie rkm-ów i dostarczył „Kobusowi”. Dowódca powiedział do niego wtedy – „dostaniesz za to krzyż”. Na co mój tata odparł, z właściwym mu humorem: - „byle nie brzożowy”.

W organizacji był do końca lipca 1944 r. W dniach 10-12 lipca 1944 r., rozkazem kpt „Lota”, dowódcy V ośrodka placówki Zbuczyn „Wierzba”, terenowe oddziały AK zostały zmobilizowane do akcji „Burza”. Około 20 –stu

żołnierzy AK, w tym mój tata, z bronią w rękę, po połączeniu się z oddziałem Czuryły, zgrupowało się w okolicy majątku Krzymosze, skąd miało ruszyć w kierunku Warszawy. Wkrótce jednak przyszedł rozkaz, aby rozwiązać oddziały i nakazać żołnierzom powrót do rodzinnych stron, a także zachowanie ostrożności w związku z niebezpieczeństwem aresztowania przez NKWD i UB. Jesienią 1944 r. aresztowany został m.in. „Ziemowit”. Skazany na karę śmierci, po zmianie wyroku, przeżył 12 lat w radzieckich łagrach, skąd nie powrócił już do kraju.

Tata uniknął aresztowania, ale niebawem został wcielony do LWP i brał jeszcze udział w walkach w południowo-wschodniej Polsce. Ale o tym zdecydowanie nie chce rozmawiać. Widać, że przeżycia z nimi związane nie należą do miłych i woli je „spychać za margines niepamięci”.

W 2001 r. tata, za udział w walce z okupantem, został awansowany jako kombatant, do stopnia podporucznika. W bieżącym roku otrzymał kolejny awans – na porucznika.

Awans zaskoczył tatę. Nie zabiegał o to. Zawsze traktował i nadal traktuje „tamten czas” jako czas wypełnienia swojego naturalnego obowiązku wobec Ojczyzny. Jak całe ówczesne, młode pokolenie. Ale myślę, że w głębi duszy ucieszyło go to jednak.

Wielu z jego kolegów z konspiracji nie doczekało tej satysfakcji, nie doczekało tego formalnego może, ale jednak docenienia ich spontanicznie patriotycznej postawy.



Żał tylko, że przez wiele minionych lat, nie tylko nie doceniano patriotyzmu młodego pokolenia lat okupacji, ale wręcz szykanowano ludzi z AK zmuszając ich do milczenia i zatajania swej chlubnej przeszłości – nawet przed najbliższymi.

Basia

Moja podróż na Wołyń.

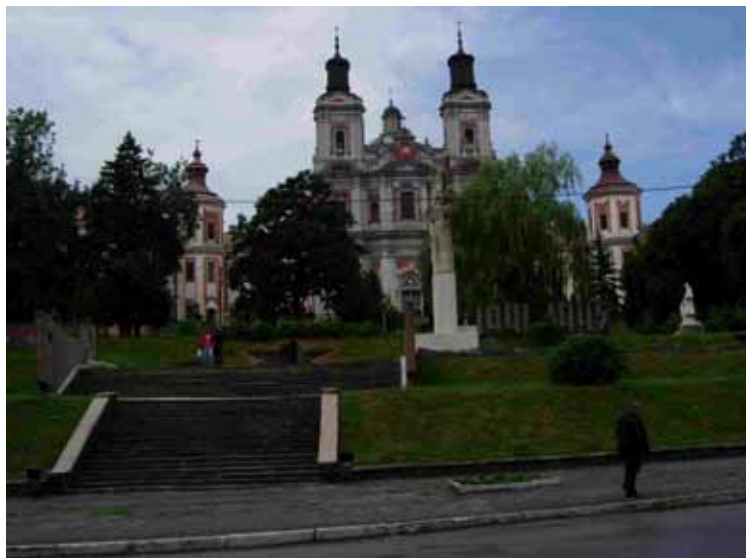
Dwa lata temu, w 2006 roku, przypadała 100 rocznica urodzin mojego Ojca, Romana Chromińskiego. Zastanawiałem się, co powinienem szczególnego zrobić w tym roku, żeby jakoś ją podkreślić, przeżyć?

Szybko doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem będzie udać się Jego śladami, na Wołyń. Postarać się odszukać miejsca Jemu najbliższe: miejsce gdzie się urodził i spędził pierwsze lata swojego życia, miejsce gdzie później dorastał i w końcu miejsce Jego pierwszej pracy nauczycielskiej. A że miejsca te są także miejscami pochodzenia rodziców mojej żony postanowiliśmy udać się tam oboje, samochodem.

Nie wiązałem z tym wyjazdem jakiś większych nadziei na dotarcie do materialnych pamiątek po tamtych latach. Dobrze wiedziałem, jak „przodujące masy proletariackie” obchodziły się w trakcie i po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej z substancją materialną pozostałą po polskim ziemiaństwie, polskich parafiach, kościołach, szkołach. Czas pokazał, że jednak (przynajmniej częściowo) myliłem się. Początek podróży wskazywał jednak, że poza aspektem turystyczno-poznawczym na nic więcej liczyć nie powinienem.

Krzemieniec..... Miasto dla wielu ludzi wręcz magiczne. Miasto nazywane „Atenami Wołyńskimi”. To przecież miejsce urodzenia Juliusza Słowackiego! Miasto tak przez niego ukochane i wspominane w poezji! To słynne, założone przez Hugona Kołłątaja i Stanisława Czapskiego Liceum Krzemienieckie, którego poziom

nauczania w wielu przedmiotach zbliżony był do poziomu szkoły wyższej.



Widok na Liceum Krzemienieckie i kościół licealny

To tu, tuż pod Krzemieńcem, w Białokrynicy, stacjonował przed wojną 12 Pułk Ułanów Podolskich, wsławiony wspaniałymi bojami z niemiecką armią pancerną w kampanii wrześniowej (bitwa pod Mokrą), a także zatknięciem przez patrol tego pułku poręczą pułkowego na szczycie Monte Cassino, jeszcze zanim zawisł tam Polski Sztandar. Dla mnie to wreszcie miejsce pierwszej nauczycielskiej pracy mojego Ojca, jako profesora polonisty w Liceum Krzemienieckim, miejsce poznania późniejszej Jego żony, a mojej Matki Aleksandry Zarzyckiej. Z tego miasta, już po raz drugi w życiu, choć jak się okazało nie po raz ostatni, uciekał 17

września 1939 r. przed hordami bolszewickiej armii. Jeśli dodać, że jest to miasto rodzinne rodziców mojej żony - zrozumiałe że dla nas obojga, nadal jest miastem magicznym.

Z Krzemieńca, (o tym wyjątkowym mieście napiszę dalej) najpierw pojechaliśmy do Myteln. To tam był majątek prowadzony przez dziadków mojego Ojca, tam urodziła się jego matka i on sam. Pierwsze zaskoczenie to to, że był tak blisko Ołyki. Ołyka była stolicą ordynacji Radziwiłłów Wołyńskich. Znajduje się w niej zachowany do dzisiaj w swej zewnętrznej bryle pałac Radziwiłłów, wielki, rozłożysty, z dziedzińcem wewnętrznym blisko cztery razy większym niż wawelski. To w nim, na balu, poznali się mój dziadek i moja babka. Bardzo zniszczony, zaniedbany - ale cały czas użytkowany. Ulokowano w nim szpital psychiatryczny i tylko dlatego zapewne nie podzielił losu większości byłych kresowych, polskich rezydencji magnackich, w barbarzyński sposób zniszczonych i popadających w kompletną ruinę. Widać do dzisiaj piękno jego założenia, urzekającą barokową architekturę. Ale wszystko zaniedbane, brudne, sypiące się. Jeszcze gorzej jest wewnątrz pałacu. Tam nie zachowało się nic. Nie tylko z wyposażenia ruchomego, ale też z oryginalnego układu wewnętrznego. Pałac przystosowano do nowych potrzeb poprzez podzielenie go wewnętrznymi ścianami przy okazji burząc piękne elementy wewnętrznej architektury (portale, kominki, schody, stiuki itp.). Zachowane drewniane elementy jak schody, poręcze, wielokrotnie malowane obrzydliwymi olejnymi farbami, złuszczającymi się wielkimi płatami dzisiaj straszą raczej i smuć. Na przeciwko pałacu znajduje się kolegiata p.w.

św. Trójcy. Uznawana niegdyś za najpiękniejszy kościół na Wołyniu, dzisiaj jest namacalnym dowodem na wyjątkowe barbarzyństwo sowieckiej władzy, systemu bolszewickiego. Do 1945 roku dotrwała bez większych zniszczeń. Dopiero „za nowej władzy” rozpoczęła się jej planowa, systematyczna dewastacja. Zamknięta dla wiernych w 1945 r., barokowa, trzynawowa bazylika, niegdyś z pięknymi obrazami, rzeźbami, elementami snycerskimi, stallami kanoników w prezbiterium (dziełem Erlenberga, ucznia Pfistera ze Lwowa), licznymi nagrobkami i epitafiami, przeważnie z marmuru i kolorowego alabastru znajduje się obecnie w kompletnej ruinie (<http://rzeczpospolita.com/olyka0.php3>). Ale coś się jednak dzieje pozytywnego. Na dachu widać nowo położoną blachę, murowane ogrodzenie wokół bazyliki, w którym znajdują się mieszkalne pomieszczenia są odbudowane. Wchodzimy przez bramę i spotykamy wyraźnie zniszczonego przez czas i alkohol, starszego człowieka który zainteresowany naszą obecnością podchodzi i zaczyna rozmowę. Okazuje się, że jest miejscowym Ukraińcem, który pracuje społecznie przy zabezpieczaniu budowli przed kolejnymi zniszczeniami. Kiedy pytamy się czemu on, będąc prawosławnym to robi okazuje się, że zadał to sobie jako pokutę. Jako młody chłopak brał udział w niszczeniu bazyliki zbijając młotkiem jej tynki z freskami, wrywając figury, płyty nagrobne itp. Był członkiem „postępowych oddziałów robotniczych” specjalnie w tym celu organizowanych przez sowieckie władze. I teraz uczestnicząc w ratowaniu tego co jeszcze pozostało, chce odkupić tamte grzechy. Ze wzruszeniem wchodzę do wnętrza kolegiaty.



Zdewastowana kolegiata (stan aktualny)

W niej przecież byli chrzczeni moja babka i mój ojciec. Całkowita ruina wewnątrz kościelnych jest niemy, lecz dobitnym oskarżeniem ludzkiego barbarzyństwa. Po rozmowie z miejscowym księdzem, przygnębieni, ruszamy w dalszą drogę. Wieś i majątek Mytelno znajdują się około 5 km. od Ołyki. Dojeżdżamy do wsi i zaczynamy wypytywać miejscowe staruszki wygrzewające się w słońcu na ławkach przed domami. Pytamy o majątek - gdzie leżał? Bo na to, że cokolwiek się ostało nie liczymy. Niestety, zbiorowa amnezja która była sposobem na fizyczne przeżycie w systemie bolszewickim wyraźnie wymazała z pamięci „pańskie czasy”. Nie wiedzą. Niemniej nawiązuje się coraz sympatyczniejsza rozmowa. Babinek przybywa i po pewnym czasie zaczynają się jednak jakieś wspomnienia. Że dziadkowie opowiadali, że widoczne wokół pola były

pańskie. Że to były dobre czasy. Było gdzie „hroszy” zarobić. „Pany” najmowali do prac w majątku, dobrze płacili, uczciwie rozliczali się codziennie z wykonanej pracy. A jak zabrakło majątku – przyszła bieda! Nie było gdzie dorobić. Przyszedł głód. Okazuje się, że jednak wiedzą gdzie był majątek. Tam, gdzie potem za komuny był „koń zawod”, czyli kołchoz specjalizujący się w hodowli koni. Jedziemy. Na miejscu widok urzekający i porażający zarazem Łany pszenicy ciągną się aż po horyzont, jak złote morze. Nigdzie w Polsce nie widziałem tak rozległych, jednorodnych upraw. A na ich tle straszne wrażenie robią całkowicie zrujnowane zabudowanie po stajniach, magazynach, pomieszczeniach mieszkalnych. Straszą i oskarżają. Wszechobecna bieda na najżyźniejszych w Europie ziemiach! Robimy zdjęcia, wsypujemy do woreczka trochę ziemi i ruszamy w dalszą drogę. Kiedy przejeżdżamy ponownie przez wieś – miejscowi czekają na nas. Zatrzymują nas i zapraszają do dalszej rozmowy. Niestety, mamy przed sobą jeszcze dość długą drogę i musimy jechać. Serdecznie żegnani – jedziemy. Celem jest Jaruń – majątek do którego przeniosła się babka mojego ojca z nim samym. Majątek na którym gospodarzyli rodzice ojca i gdzie mieszkało jego młodsze rodzeństwo. Z tego majątku uciekali w 1918 roku przed „zaprowadzającymi nowy porządek” oddziałami kozackimi Budionnego. Ale dopiero tam, w Jaruniu, przeżyliśmy wielkie zaskoczenie i radość. Dopiero tam dane nam było „dotknąć” historii sprzed 100 lat. Zobaczyć zebrane i przechowywane pamiątki po dworze. Ale o tym już w następnym numerze Rocznika.

Sławek

Szanowni Czytelnicy.

Redagując ten numer Rocznika postanowiłem zaprosić do napisania do niego tekstów dwóch znamienitych genealogów, zajmujących się genealogią podlaskich rodów, panów: Staszka Orzełowskiego i Roberta Wiraszkę. Obaj reprezentują rody wielokrotnie skoligacone z nami – Chromińskimi. Poniżej znajdziecie Państwo ich teksty. Uważam, że takie wzajemne "wciąganie się" przedstawicieli różnych Rodów w wewnętrzne inicjatywy innych, jest bardzo wskazane i staje się jakby kontynuacją niegdysiejszego, powszechnego poczucia wspólnoty stanu ziemiańskiego.

Przy okazji składam im wyrazy wielkiej wdzięczności za spontaniczne, pozytywne odpowiedzenie na moją prośbę – mimo „wariackiego terminu” jaki im dałem na przesłanie tekstów.

Sławek

DRODZY CHROMIŃSCY!

Wychodząc naprzeciw prośbie Sławka, kreślę do Was kilka słów, aby podzielić się swymi doświadczeniami w odtwarzaniu genealogii rodowej. Nie sposób w kilku zdaniach zawrzeć to, co robiło się latami, ale spróbuję, choć w części opowiedzieć to, co udało mi się na tej niwie rodzinnej zrobić.

Pochodzę z wielodzietnej rodziny (dziewięcioro dzieci), więc nie dziw, że rodzinny temat był i jest mi bardzo bliski. Od szesnastu lat zajmuję się genealogią rodów (Jasińskich i Orzełowskich), z których wywodzili się moi rodzice. Wszystko zaczęło się od momentu, gdy zrodziła się u mnie myśl zorganizowania uroczystego Jubileuszu Złotych Godów, czyli 50-lecia pożycia małżeńskiego moich rodziców. Miało to miejsce 24

stycznia 1984 roku. Odczuwam, że to był główny przyczynek do moich większych prac na rzecz rodziny. W 1992 roku zorganizowałem I zjazd rodziny Jasińskich (przybyło 100 osób). W 1993 roku odbył się I zjazd Orzełowskich (spotkało się 240 osób). Po 5 latach, czyli w 1998 roku odbył się II zjazd rodziny Orzełowskich (przybyło 170 osób).

W 1999 roku odbyły się Diamentowe Gody (65 lat małżeństwa) moich rodziców. Ta uroczystość odbyła się bardzo uroczyście, a z nagranego materiału filmowego powstał dokumentalny film o ogromnym ładunku emocjonalnym. Scenariusz tego spotkania zakładał, że wszystkie dziewięcioro dzieci naszych rodziców potraktują to spotkanie wspomnieniowo, a zważyć tu trzeba, że rozpiętość wiekowa między pierwszym i ostatnim dzieckiem wynosi 20 lat.

Zawsze w moich rodzinnych spotkaniach z rodzeństwem przewijały się opowiadania o historii poszczególnych członków rodu, zarówno ze strony mamy jak i taty. Skrzętnie w swojej pamięci notowałem opowieści rodziców, a rodzeństwo moje też chętnie mnie słuchało. Mając pasję historyczną, swoje opowiadania rodzinne umieszczałem w tle historii Polski, więc było ciekawie i edukacyjnie.

Właśnie w 1999 roku moja siostra Barbara (najstarsza z mego rodzeństwa) powiedziała: - Staszek gdybyś zechciał zadać sobie trud, z twoich opowiadań mogłaby powstać ciekawa książka. Temat ten podchwycił tata, który także zachęcał mnie do tego dzieła, bowiem z całego rodzeństwa byłem jego najlepszym słuchaczem. A przyznać trzeba, że opowiadał barwnie i wiedział, gdzie praktycznie rozkrzewiła się

rodzina Orze(y)łowskich. Dodać trzeba, że o rodzie żony, czyli Jasińskich także miał ogromną wiedzę, bowiem przez ciekawość wypytywał swego teścia. Miał po temu okazję, bowiem znał się z nim od młodszych lat, kiedy tata zaczął śpiewać w parafialnym chórze w Zbuczynie, gdzie przyszły teść taty – Feliks Jasiński, tym chórem dyrygował. W takich okolicznościach rozpoczęła się moja wielka praca nad genealogią rodową moich rodziców.

Nie przerywając prac genealogicznych, a nawet tym inspirowany, zorganizowałem w 2000 roku (po ośmiu latach) II zjazd w rodzinie Jasińskich. Wszystkie dotychczasowe zjazdy rodzinne odbywały się w małej skali (wywodzący się od dziadków), ale z racji licznej rodziny, frekwencja była duża, od 100 do 250 osób.

Praca nad księgą Rodu Orze(y)łowskich trwała około trzech lat. Już w połowie pracy zdecydowałem się, że jeśli znajdę sprzymierzeńców, zorganizuję wielki zjazd dla całego rodu. Tak się też stało. W kwietniu 2003 roku była już gotowa 700-stronicowa „Historia Rodu Orze(y)łowskich 1750-2003”, a 26 lipca odbył się I Wielki Zjazd dla całego rodu, na który z całej polski i spoza jej granic zjechało się około 1000 osób. Oprawę mszy św. połowej uświetniał Chór Rodowy. To była ogromna praca, a zjazd był wydarzeniem nienotowanym w 250-letniej historii rodu. W rocznicę zjazdu, czyli w 2004 roku 100 osobowa grupa Rodu Orze(y)łowskich wraz z Chórem Rodowym odbyła dziękczynną pielgrzymkę na Jasną Górę do Częstochowy, gdzie przed cudownym obrazem Matki Boskiej złożona została Księga Rodowa, jako wotum. Taka była wola, co aktywniejszych członków rodu.

W tym samym roku, jesienią, oddelegowałem się do pracy nad genealogią Rodu Jasińskich, z którego wywodziła się moja mama. Niestety, od 5 marca 2003 roku nie miałem już taty, który był mi najlepszym nauczycielem historii rodzinnej. Nie doczekał wydania książki i zjazdu. W pracach nad genealogią rodu Jasińskich korzystałem już z doświadczenia i miałem nieco przetarte ścieżki, szczególnie w pracach archiwalnych, które trwały miesiącami. Równocześnie z pracami nad księgą, usilnie poszukiwałem sprzymierzeńców do zorganizowania wielkiego zjazdu dla całego Rodu Jasińskich. Chciałem, aby ród mamy przeżył to samo, co ród mego taty. Udało się, a może jeszcze z lepszym skutkiem. W maju 2007 roku ukazała się 900 stronicowa „Historia Rodu Jasińskich 1750-2005”, a 21 lipca na błoniach rodowej wsi Jasionka odbył się I wielki zjazd tego rodu, na który z całej Polski i spoza jej granic przybyło ponad 1100 osób. Oprawę mszy polowej także uświetniał Chór Rodu Jasińskich. Historia się powtórzyła, bowiem moja mama także nie doczekała książki i zjazdu. Zmarła 6 lutego 2006 roku.

Z wszystkich wyżej opisanych spotkań sporządziłem pełną dokumentację filmową. Na 5 płytach DVD zawarta została „Kronika działań kulturalno-integracyjnych w Rodzie Orzełowskich w latach 1993-2004”, a w Rodzie Jasińskich w latach 1992-2007. Filmy te oraz filmy z mniejszych zjazdów rodzinnych znalazły się w wielu domach w tych rodach. Jest także pełna dokumentacja wszystkich utworów, jakie wyśpiewały na zjazdach chóry rodowe. Dokumentalne nagrania odbyły się w siedleckiej katedrze i zbuczynskim kościele. Nadal

jest możliwość zakupienia tej rodzinnej dokumentacji, zarówno filmów, jak i ksiąg.

12 lipca 2008 roku (po 5 latach) odbył się II Wielki Zjazd Rodu Orze(y)łowskich. Tym razem miejscem spotkania była wieś Radomyśl w gminie Wiśniew.



Staszek z siostrą prowadzą zjazd Orzełowskich

Tam, przed 165 laty, w 1848 roku osiedlił się, zeniąc do przystania, Stanisław Orzełowski syn Wojciecha. Była to pierwsza, najwcześniej powstała poza rodową wsią Pogonów, linia Orzełowskich. Tak jak przed pięciu laty, jak ptaki zza mórz, znów Orze(y)łowscy zlecieli się na zjazd w liczbie około 1000 osób, a chór rodowy ponownie uświetniał uroczystość. Wszystkie prace na

rzec tych przedsięwzięć wykonywaliśmy sami, nawet ułani, którzy uświetniali nasz zjazd, byli członkami rodu.



ułan Orzełowski

Co musiało się stać, aby 1000 osób z Polski i spoza jej granic, niczym nie przymuszonych, zapragnęło przyjechać by spotkać swoich bliższych i dalszych krewnych. Tej tajemnicy nie sposób odgadnąć.





Uroczyste przejście przez wieś

Jeszcze w uszach naszych brzmią słowa piosenki zjazdowej:

***„Do Plewek dzisiaj z całego świata zjechali krewni tu,
by spotkać się. Brat spotkał siostrę, a siostra brata, a w
oczach naszych łza już kręci się.”***





W bryczce goście honorowi i orkiestra

Rokrocznie od 2003 roku odbywają się nasze rodowe spotkania opłatkowe. Za każdym razem spotyka się nas ponad 100 osób, a w styczniu 2008 roku do świetlicy wsi Radomyśl przyjechało 168 osób.

Na dzień 10 stycznia 2009 roku planujemy kolejne spotkanie opłatkowe i będzie ono już siódmym z kolei. Tym razem na to spotkanie zapraszamy członków dwóch rodów - Jasińskich i Orze(y)łowskich, oraz ich Przyjaciół. Spotkanie odbędzie się w świetlicy wsi Białki k/ Siedlec o godzinie 18. **Warunkiem uczestnictwa będzie wpłata wpisowego w kwocie 40,00 zł od osoby, do dnia 31 grudnia 2008 roku na konto: 93 9194 0007 0019 7508 3000 0010, lub do rąk organizatorów.**

Będzie na bardzo miło, jeśli CHROMIŃSCY zechcą dołączyć do nas w tym uroczystym dla nas dniu.



Chromińscy na zjeździe Orzełowskich

We mnie płynie po części także krew Chromińskich, bowiem mego taty babcia (po mamie), pochodzi z tego rodu.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla wszystkich członków Stowarzyszenia Rodu Chromińskich.

Stanisław Orzełowski
z mamy Jasiński

Terminologia genealogiczna

Od blisko pięciu lat prowadzę badania nad genealogią szlacheckiej rodziny Strus. Jest to moja rodzina macierzysta. Jak dotychczas udało mi się znaleźć kilka – niezależnych od siebie – rodzin o tym nazwisku: szlacheckie i chłopską; katolickie i greckokatolicką. Są to rodziny różnych herbów, których członkowie zamieszkiwali różne tereny. Zbieram jednak wszystkie informacje, gdyż zdarza się, że informacja zdobyta kiedyś przed laty „wypływa” przy okazji wydawałoby się zupełnie innej rodziny – i nagle ma duże znaczenie. Kiedy siada się do zbierania materiałów warto od samego początku założyć osobny plik będący zbiorem informacji o wszystkich członkach rodziny, pisany np. według wzoru: „imię – rodzice – wieś / parafia – uwagi”. Piszę o tym, gdyż mam nadzieję, że i Chromińscy doczekają się wydania książkowego historii swojej rodziny.

Niniejszym tekstem chciałbym przekazać Państwu parę informacji, które zwykle okazują się bardzo przydatne w pracy genealoga – amatora. Jeżeli natomiast ktoś z Państwa chciałby zająć się poszukiwaniem źródeł archiwalnych (księgi metrykalne, rejestry pogłównego, etc.) zdecydowanie polecam uwagi artykuł p. Tomasza Jaszczółta, opublikowany w piśmie Związku Szlachty Polskiej: „Verbum Nobile” – nr 16 z 2007

roku (strony 10 do 16). Wymienia on po kolei wszystkie miejsca przechowywania tych źródeł i poddaje je rzetelnej ocenie. Artykuł ten jest znacznym ułatwieniem pracy.

Urzędy ziemskie

Najważniejszymi urzędnikami ziemskimi byli: wojewoda i kasztelan, gdyż z urzędu wchodzili do Senatu. Po nich w każdej ziemi następowali pozostali urzędnicy. W większości były to godności honorowe. Urzędy ziemskie dzieliły się na dygnitarskie (łac. dignitates) i officia. Dygnitarzami byli: wojewoda, kasztelan, podkomorzy i sędzia ziemski. Officia to urzędy: stolnika, podstolego, cześnika, podczaszego, łowczego, miecznika, chorążego i wojskiego. Porządek starszeństwa sprecyzowała konstytucja (ustawa sejmowa) z 1611 roku.

I tak w Koronie (Mazowsze i Podlasie) po urzędach senatorskich następowali kolejno (w nawiasach podano określenia łacińskie): podkomorzy (subcammerarius), starosta (capitaneus), chorąży (vexillifer), sędzia ziemski (iudex terrenus), stolnik (dapifer), podczaszcy (pocillator), podsędek (subiudex), podstoli (subdapifer), cześnik (pincerna), łowczy (venator), wojski większy (tribunus), pisarz ziemski i grodzki (notarius terrenus et castrensis), miecznik (gladifer),

wojski mniejszy, skarbnik (tesaurarius), żupnik (supparius), podstarości i sędzia grodzki, podstarości (vicecapitaneus), sędzia grodzki (iudex castrensis), regent ziemski i grodzki (regent terrensis et castrensis), podwojewodzy (vicepalatinus), komornik graniczny (cammerarius – CB), komornik ziemski (cammerarius – CT), mierniczy (geometra), burgrabia grodzki (burgrabius casterensis), viceregent (viceregent), susceptant (suspectant).

Na Litwie zaś kolejność była następująca: ciwun, marszałek ziemski, podkomorzy, starosta grodowy, chorąży, sędzia ziemski, wojski większy, stolnik, podstoli, pisarz ziemski, podwojewodzi albo podstarości, sędzia grodzki, pisarz grodzki, podczaszy, cześnik, horodniczy, skarbnik, łowczy, miecznik, koniuszy, oboźny, strażnik, krajczy, leśniczy, mostowniczy, budowniczy.

Akty metrykalne

Obowiązek prowadzenia ksiąg metrykalnych uchwalono na Soborze Trydenckim 11 listopada 1563 roku. W Polsce Synod Piotrkowski z 1607 wprowadził prowadzenie następujących ksiąg: ochrzczonych, bierzmowanych, zaślubionych, zmarłych oraz spisów wiernych („status animarum”) i spowiadających się na Wielkanoc. Z tego powodu znajdująca się w archiwum parafii trzebieszowskiej księga zawierająca wszystkie chrztów i małżeństw od

roku 1585 należy traktować jako szczególnie cenne źródło wiedzy. Po roku 1631 utarł się zwyczaj prowadzenia jedynie trzech ksiąg: ochrzczonych, zaślubionych i zmarłych. W drugiej połowie XVIII wieku wprowadzono nakaz sporządzania odpisów i przekazywania ich do Sądów Grodzkich (stąd określenia: unikat i duplikat).

Zwykle przy poszukiwaniach genealogicznych przyjmujemy powszechnie, że prawowitym synem szlachcica jest dziecko urodzone po jego ślubie. Niemniej, pierwszym (niepisanym, lecz zwyczajowym) prawem dotyczącym uznawania dziecka przez szlachcica było uniesienie go po porodzie przez ojca do góry, co symbolizowało uznanie go za dziecko i przekazanie mu prerogatyw stanowych. W przypadku tzw. *posthumusa*, czyli dziecka urodzonego po śmierci ojca (pogrobowca) czynność tę wykonywał najbliższy stryj dziecka. W przypadku zapisu chrztów tzw. „pokrzywników”, czyli dzieci z nieprawego łoża, praktycznie zawsze w akcie chrztu wymieniano tylko matkę, w miejscu danych ojca podając „parentis ignotis” (ojca nieznanego), a sam wpis bardzo często dokonywany był w księdze „do góry nogami”. Dziecko takie, nawet jeżeli urodziło się z ojca szlachcica, nie miało prawa do słowa „nobilis” przed nazwiskiem. Po roku 1764 możliwe było legitymizowanie dziecka wraz ze ślubem rodziców.

Korzystając z ksiąg metrykalnych należy pamiętać, iż pisane one były: do czasów

napoleońskich po łacinie, potem krótki czas po polsku, a następnie (na Podlasiu) do początku XX wieku w języku zaborcy (rosyjskim). Bardzo często – zwłaszcza w najstarszych księgach – stosowano w nich skróty, używano przydomków zamiast nazwisk, nie podawano imion ojca przy aktach zgonów, nie pisano nazwisk rodowych małżonek – a bywało, że w ogóle pomijano imiona matek przy chrzcie dzieci. Księgi pisane były bardzo wieloma charakterami pisma, stan zachowania wielu wpisów jest na granicy ich czytelności. Wszystko to powoduje, że niejednokrotnie właściwa interpretacja niejednego wpisu wymaga nie tylko kilkukrotnego czytania w powiększeniu lub z zastosowaniem komputerowych technik obróbki obrazu, ale także konfrontowania z wpisami do innych ksiąg, czy konsultowania takich wpisów z osobami bardziej doświadczonymi. Pokazuje to skrótowo zakres prac, jaki potrzeba wykonać, by móc potem przeczytać dzieje rodziny. Trzeba także przybliżyć w tym miejscu skróty stosowane w księgach metrykalnych oraz opisać podstawowe pojęcia genealogiczne.

Rodzaje ksiąg prowadzonych w parafiach:

Libri ordinationum – kopiariusze rozporządzeń władz państwowych i kościelnych, księgi kancelarii parafialnych

Libri memorabilium – księgi prowadzone przez zarządców parafii, w których zapisywano wydarzenia godne upamiętnienia
Status animarum – spisy parafian
Libri confirmatorum – księgi bierzmowanych
Libri infirmorum – księgi opatrzonych świętymi sakramentami przed śmiercią
Libri bannorum – księgi zapowiedzi i protokoły przedślubne
Libri mortuorum – księgi zmarłych
Libri natorum – księgi urodzonych / ochrzczonych
Libri copulatorum – księgi małżeństw

Pokrewieństwo i powinowactwo wedle ich łacińskiego brzmienia:

(za: www.ltg.pl)

abavus, abaa, abavia - prapradziad, praprabkabka,
abnepos, abneptis - praprawnuk, praprawnuczka,
affinis - powinowaty, czasem szwagier, mąż siostry,
agnatus - krewny przez osoby męskie, po mieczu,
amitta - ciotka, siostra ojca, często siostra matki,
amitta magna - siostra dziada lub babki,
amittalis frater, soror - syn, córka siostry ojca lub matki, więc brat, siostra, cioteczni,
atavus, atavia - ojciec, matka prapradziada,
avunculus - wuj, brat matki rodzony lub stryjeczny,
avunculus magnus - brat babki,
avuncularis frater, soror - syn, córka brata matki, więc brat, siostra, wujeczni,

avus, ava, avia - dziad, babka,
cognatus - krewny przez osoby żeńskie, po kądzieli,
cognatus frater - brat przyrodni z innego ojca,
consanguinei proximiores - krewni bliżsi,
consanguinei remoti - krewni dalsi,
consobrinus, consobrina - siostrzeniec, siostrzenica
zrodzeni z siostry ,ale czasem i zrodzeni z brata,
consororini - zrodzeni z dwóch sióstr,
consors - żona,
conthoralis- żona,
filiaster, filiastra - bratanek, bratanica,
filius, filia - syn, córka,
frater - brat, zarówno rodzony, jak i stryjeczny, a
czasem i dalszy krewny po mieczu,
fratria - bratowa, żona brata,
gemellus, geminus - bliźniak,
gener- zięć,
germanus - rodzony (brat), w zasadzie z obojga
wspólnych rodziców, zdarza się jednak, że tylko z
wspólnego ojca,
glos- bratowa, czasem siostra męża, szwagierka,
levir - brat męża, szwagier,
mater - matka,
mater antiqua - babka,
matertera - ciotka, siostra matki,
natus - urodzony, często w znaczeniu syna,
nepos, neptis - wnuk, wnuczka lub bratanek,
bratanica, a więc dzieci brata, rzadziej siostry,
noverca - macocha,
nurus (błędnie - nurua) - synowa,

orphanus - sierota (bez ojca),
pater - ojciec,
pater adoptivus - ojciec adopcyjny (często teść),
pater antiquus - dziadek,
patrini - rodzice chrzestni,
patruelis frater, soror - brat, siostra ,stryjeczni. tj.
syn, córka stryja,
patruelis germana soror - brat, siostra, rodzono-
stryjeczni, tj. syn, córka rodzonego stryja,
patruus, patrua - stryj, stryjenka (w stopniach
rozmaitych),
patruus germanus - stryj rodzony,
posthumus - pogrobowiec,
privinus, privigna - pasierb, pasierbica z innego ojca
lub z innej matki,
proavus, proavia - pradziad, prababka,
progener - mąż wnuczki,
proles - potomstwo, dzieci,
pronepos, proneptis - prawnuk, prawnuczka,
pronurus - żona wnuka,
propinquus - krewny,
prosocer, prosocrus - dziad męża, żony babka męża,
żony,
pueri - dzieci obojga płci,
pupillus - sierota (bez matki),
socer - teść, czasem szwagier,
socrus - teściowa,
soror - siostra,
sororarius, sororius - szwagier, mąż siostry dla brata,
wyjątkowo siostrzeniec,

sororinus, sororina - siostrzeniec, syn siostry,
siostrzeńca, córka siostry,
sponsa - narzeczona, czasem żona,
spurius- zrodzony z nieznanego ojca,
uterinus - przyrodni, najczęściej z innego ojca,
uxor - żona,
vitricus – ojczym.

Inne skróty, słowa i pojęcia spotykane w księgach metrykalnych:

C.L. (CC.LL.) - conjugum legitimorum
(prawowitych małżonków)
PP legitimorum – parentes legitimorum (rodziców
prawowitych)
G.D. - generosus dominus (urodzony Pan)
Lev. (Levantes; Levantibus) – trzymający do chrztu
G. – generosus (urodzony)
N. – nobilis (szlachetny)
NN. – nobiles (szlachetni)
H. – honestus (rzemieślnik)
L. – laboriosus (chłop)
LL. – laboriosi (chłopi)
Artifices – rzemieślnik
Bini nominis – dwojga imion
Comes – hrabia
Eadem die – tego samego dnia
Haeres – dziedzic
Hortulanus (censitaos) – zagrodnik
Hortulani in agris – zagrodnicy z ziemią

Hortulani sine agris – zagrodnicy bez ziemi
Idem qui supra – tak jak wyżej
Illegitimi thoro – z nieprawego łoża
Inquilinae – komornik, kątnik mieszkający u innego
Obiit – zmarły
Subditor – poddany
Xenodochium – szpital przykościelny, przytułek dla
biednych.
7bris – septembris (wrzesień)
8bris – octobris (październik)
9bris – novembris (listopad)
10bris – decembris (grudzień)

W księgach pisanych w języku łacińskim nie spotyka się przecinków (często nie używano ich). Dlatego przykładowy zapis „Joannes Michael Strus” oznacza dwie osoby: „Jana, Michała Strusów”. Gdyby chodziło o jedną osobę, w zapisie dodano by „bini nominis” (dwojga imion): „Joannes Michael bini nominis Strus”.

Tytulatura określająca przynależność stanową:

S.A.R. le Prince (Son Altesse Royale) – Jego
Królewska Wysokość
S.A.S. le Prince (Son Altesse Serenissime) – Jego
Książęca Wysokość
S. Exc. Rev. me (Son Excellence Reverend) – Jego
Ekscelencja Wielebny
Illustrissimus ac magnificus (illustris et/ac

magnificus) – jaśnie wielmożny – magnat, senator.
“Illustrissimus” (jaśnie oświecony) było zastrzeżone dla książąt. W odniesieniu do książąt lub najwyższych dostojników I RP używano także: “celsissimus” lub “celsitudo vestra” (wasza wysokość).

Magnificus – wielmożny – szlachcic, urzędnik grodzki lub ziemski

Generosus (G) – urodzony – szlachcic, właściciel jednej wsi

Nobilis (N) – szlachetny – szlachcic, właściciel części wsi lub dzierżawca

Spectabilis – godny – zamożny patrycjusz dużego miasta

Honoratus – zacny – patrycjusz

Famatus (famosus) – sławetny – średniozamożny rzemieślnik

Providus (circumspectus) – opatrzny – ubogi rzemieślnik

Honestus (H) – uczciwy – rolnik z małego miasteczka, rzemieślnik wiejski

Laboriosus (L) – pracowity – chłop

Infidelis (perfidus) – niewierny (przewrotny) – Żyd

Reverendissimus, reverendus, venerabilis, honorabilis – księża (od biskupa do plebana)

Vir excellens (egregius) – mąż znamienity – uczonec, lekarz, filozof

Słowniczek pojęć genealogicznych:

babka macierzysta – matka matki

babka ojczyzna – matka ojca

filiacja – stosunek między dwoma osobami, z których jedna pochodzi od drugiej (np.: dziadek, ojciec, syn, wnuk)

koicja – związek osób odmiennej płci zawarty w celu wydania na świat potomstwa

komputacja – rachuba – sposób liczenia stopni pokrewieństwa między dwoma osobami. Według reguły rzymskiej w linii prostej mamy tyle stopni pokrewieństwa ile pokoleń minus jeden. W linii bocznej stopień pokrewieństwa jest taki, ile wynosi suma osób w dwóch liniach prostych aż do wspólnego przodka, nie licząc tego przodka. Według reguły germańskiej krewni w linii bocznej równej (z tego samego pokolenia) są spokrewnione z sobą w takim stopniu, w jakim każda z nich ze wspólnym przodkiem. Osoby należące do innych pokoleń (linia boczna nierówna) są spokrewnione tak, jak przedstawiciel młodszej generacji ze wspólnym przodkiem, przy czym podaje się tu także stopień pokrewieństwa przedstawiciela starszej generacji

linia boczna – dotyczy osób mających wspólnego przodka (np. ciotka i siostrzeniec)

linia młodsza – pochodząca od młodszych braci

linia prosta – dotyczy osób, z których jedna pochodzi od drugiej (np. ojciec i syn)

linia starsza – pochodząca od najstarszego syna

matriarchat – dziedziczono po matce z uwagi na pochodzenie macierzyste

patriarchat – dziedziczono po ojcu (do rodu należą synowie i ich dzieci oraz córki, ale te bez swoich dzieci)

pokrewieństwo – *consanguinitas* – dotyczy potomków wspólnego przodka

pokrewieństwo prawne – zachodzi między osobą adoptującą a adoptowaną

powinowactwo – *affinitas* – stosunek jednego małżonka do wszystkich krewnych drugiego małżonka. Według aktualnie obowiązującego Kodeksu Prawa Kanonicznego zabronione są małżeństwa między krewnymi linii prostej (pochodzenia prawego i nieprawego) w linii bocznej do IV stopnia rachuby rzymskiej (do dzieci po rodzeństwie); pomiędzy powinowatymi w linii prostej; pomiędzy krewnymi prawnymi (z adopcji) w linii prostej oraz do II stopnia w linii bocznej

powinowactwo duchowe – zachodzi między rodzicami chrzestnymi, a chrzczonym lub między chrzczącym a chrzczonym

rodowód – drzewo genealogiczne – dotyczy wszystkich członków danego rodu pochodzących od wspólnego przodka

rodzina – związek dwóch osób płci przeciwnej (należących do dwóch różnych rodów) i ich potomstwo

ród – grupa osób złączonych więzami krwi, pochodząca od jednego przodka

stopień pokrewieństwa / powinowactwa – gradus –
odległość genealogiczna między dwoma osobami
wstępnymi – *ascendentes* – przodkowie
wywód przodków – przeciwieństwo rodowodu –
polega na przedstawieniu przodków probanta (osoby
badanej) kolejnymi pokoleniami: rodzice,
dziadkowie, pradziadkowie, etc.
zstępni – *descendentes* – potomkowie.

Jednostki miar spotykane w starych dokumentach:

Czytając stare dokumenty można często natknąć się na określenia jednostek miar, które wyszły dziś z użycia. I tak, przy opisywaniu spraw majątkowych, w miejsce powszechnego dziś hektara, używano określić: włóka, morga lub pręt kwadratowy.

Włóka to dawna (średniowieczna) miara powierzchni, odpowiadająca wielkością łanowi chełmińskiemu. Nazwa ta bywała często synonimem łana, była w szerokim użyciu na Mazowszu i na wschodnich terenach Rzeczypospolitej.

1 włóka (nowochełmińska) = 17,955 ha = 179550 m²

1 włóka (reńska) = 30 mórg = 76597,63 m²

1 włóka olecka = 2 włóki i 1,29 morgi magdeburskiej

Robert Wiraszka

NASZE PASJE

*Ryby, drób i cielęcina
Lubią tylko białe wina.
Zaś pod woły, sarny, wieprze
Już czerwone wino lepsze.
Frukty, desery i lakołki
Lubią tylko wina słodkie.
A szampana wie i kiep,
Można podczas, po i przed!*

WINO

Życie jest zbyt krótkie, by pić kiepskie wino...

Winem interesowaliśmy się dużo wcześniej, zanim się poznaliśmy. Natalia odkrywała uroki tego szlachetnego trunku podczas pobytu na stypendium w Prowansji oraz podczas licznych wyjazdów chóralnych. Daniel natomiast miał wiele okazji podczas studiów, aby poznać wino nie tylko od strony teoretycznej. Poza tym wyprodukowało się tego trunku w rodzinnej firmie jakieś paręset hektolitrów... Także jak się spotkaliśmy, to wiedzieliśmy już dobrze o czym mówimy. Jesteśmy żywym przykładem, że wino zbliża ludzi :). Wino zatem, od początku naszej wspólnej drogi, jest towarzyszem

najważniejszych i najradośniejszych chwil. Traktujemy je bardzo szczególnie.

Smakowanie wina
traktujemy jak
obcowanie ze sztuką -
każda butelka jest jak
inne arcydzieło, co wcale
nie oznacza, że każda
nam smakuje. Jesteśmy
dosyć wybredni



(obawiam się, że coraz bardziej). Mówi się, że "wino dojrzewa z wiekiem - im jestem starszy, tym bardziej mi smakuje" - w naszym przypadku to się sprawdza. Pijąc wino dbamy o okoliczności - odpowiedni kieliszek, odpowiednia potrawa, odpowiedni nastrój i co najważniejsze - odpowiednia kompania! Choć w romantycznym nastroju też wypiliśmy nie jedną butelkę...

W tym "boskim" napoju doceniamy walory zdrowotne, traktujemy je jako źródło polifenoli, resweratrolu i parudziesięciu innych zbawiennych substancji. Co prawda ich efekt leczniczy jest najlepszy przy spożywaniu wina tylko do jedzenia, w niewielkich ilościach, ale za to regularnie. Niestety nie zawsze udaje się spełnić te trzy warunki na raz...



Wino jest często atrakcją naszych podróży. Planując wyjazdy, zawsze dbamy o to, by spróbować wyrobów lokalnych enologów. Smakowaliśmy w ten sposób pełne wina południa Francji, orzeźwiająca wina Doliny Loary, słynne wyroby winiarzy z Napa i Sonoma Valley oraz mniej znane, ale nie ustępujące wina z kalifornijskiego Eldorado County. Zachwyciły nas też wina ze wschodniego wybrzeża Australii. Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że wino nalane osobiście przez lokalnego winiarza specjalnym probierzem wprost do kieliszka smakuje nieporównanie lepiej od tego kupionego w supermarkecie i do tego jeszcze w promocji :). Oczywiście nasze plany winnej turystyki są bardzo szerokie, z czego się bardzo cieszymy, bo najgorzej to mieć wszystko co najlepsze już za sobą...



Wino to radość. Radość przeżywa się najlepiej w towarzystwie. Wśród naszych przyjaciół trudno znaleźć kogoś, kto stroni od tego szlachetnego trunku, ale wyłoniliśmy grupę prawdziwych koneserów, z którymi planujemy cykliczne spotkania tematyczne obejmujące np. różne regiony uprawy, czy różne odmiany winorośli. Z ogromną ciekawością obserwujemy i trzymamy kciuki za polskich winiarzy, którzy ostatnio próbują powstać z popiołów i odrodzić polskie tradycje enologiczne. Jest to prawdziwa droga przez mękę, głównie prawno-fiskalną, ale na szczęście pojawiają się od czasu do czasu oznaki możliwości poprawy. Bardzo nas to interesuje nie tylko dlatego, że chcielibyśmy móc pić prawdziwe, jakościowe, winogronowe polskie wino, ale także aby założyć własną winnicę, gdzieś na stoku o ekspozycji południowej...



Póki co, staramy się zebrać jak najwięcej informacji o samym winie, sposobach uprawy, odmianach winnej latorośli, procesie winifikacji i w końcu o samej degustacji, doborze wina do potraw oraz o najlepszych rocznikach. Dlatego właśnie podróżujemy, czytamy, rozmawiamy, oglądamy, zapisujemy i oczywiście pijemy! Ale na tym nie poprzestajemy! Pod koniec 2007 roku mieliśmy ogromną przyjemność poznać guru polskiego winiarstwa - pana Romana Myśliwca. Okrzyknięty przez media Dionizosem z Jasła jest prawdziwym bojownikiem o prawa polskich winiarzy. Brzmi to niewiarygodnie, ale walczy on o prawa krajowych producentów wina do produkcji i sprzedaży wyrobów z własnych winiarni. Ale jego działalność na tym się nie kończy - od wielu już lat posiada swoją winnicę, gdzie z powodzeniem uprawia i prowadzi badania nad odmianami winnej latorośli. Poza tym jest prawdziwym krzewicielem kultury winiarskiej w Polsce: pisze książki na temat uprawy winorośli oraz prowadzi szkolenia w tym zakresie. I właśnie takie szkolenie zorganizowaliśmy wspólnie w Poznaniu w dniach 1-2 grudnia 2007 na Akademii Rolniczej. Było bardzo konkretnie, praktycznie i kompetentnie. Już planujemy zorganizować drugie podobne szkolenie. Myślimy też o szkoleniach z zakresu degustacji i doboru wina do potraw.

WINNICA DOMU CHROMIŃSKICH

Oto kolejne marzenie się realizuje! O własnej winnicy marzyłem od zawsze, a od momentu spotkania z Natalią -

stała się naszym wspólnym celem. Może nie jest to winnica o wyśnionej wielkości i położeniu, ale pierwszy, myślę niemały, krok został zrobiony - posadziliśmy 36 krzewy winnej latorośli na własnej ziemi - w przydomowym ogrodzie. Fakt ten nastąpił 25 kwietnia 2008r. w godzinach popołudniowych.

Inspiratorem planowanej formy prowadzenia krzewów i doboru odmian był Roman Myśliwiec - znakomity znawca winorośli i winiarz z Jasła. Dlatego też to z jego szkółki pochodzą wszystkie krzewy winnej latorośli naszej nowej winnicy. Gdy pan Roman był u nas w domu jako gość specjalny jednego z Winnych-Niewinnych Wieczorów poświęconego degustacji polskich win, dokładnie zaplanowaliśmy sposób sadzenia krzewów. Najlepszym rozwiązaniem uznaliśmy dwa rzędy krzewów, ułożonych w literę L, sadzonych przy płocie bocznym (ekspozycja pn. - wsch.) oraz tylnym (ekspozycja pd. -wsch.). Dobór odmian miał zapewnić stworzenie zielonego płotu, który zapewni naszej działce nieco więcej intymności. Odmiany te miały być różnej wysokości: wysokie, średnie i niskie - sadzone na przemian.



Kompromisem pomiędzy wysokością krzewów, najlepszą przydatnością owoców do produkcji wina i dostępnością był następujący skład:

- **Swenson Red** - odmiana wysoka, 12 krzewów

Odmiana amerykańska. Owoce o zróżnicowanym stopniu wybarwienia, od jasnoróżowej po ciemnopurpurową. Jagody i grona średnie do dużych. Odmiana bardzo odporna na choroby i mróz (do -30°C). Dojrzewa w sierpniu. Szczególnie dobrze nadaje się na wino likierowe (wzmacniane).

- **Alden** - odmiana średnia, 5 krzewów

Odmiana amerykańska. Owoce granatowe.

- Owoce i grona średnie do dużych o specyficznym, ale przyjemnym smaku. Odmiana odporna na mróz i średnio odporna na choroby. Dojrzeewa we wrześniu.

- **Aurora** - odmiana średnia, 7 krzewów

Odmiana francuska, znana w Polsce od dawna. Dojrzeewa niezawodnie każdego roku, dojrzałość osiąga w drugiej połowie września. Mrozowytrzymałość krzewów do -28°C . Barwa owoców żółtozielona, a w pełnej dojrzałości białawo-żółta z delikatnym różowym rumieńcem. Wino lekkie, o ziołowym aromacie, doskonale nadaje się do mieszania z bardziej aromatycznymi winami.

- **Seyval Blanc** - odmiana niska, 5 krzewów

Jest to mieszaniec francusko-amerykański, znany w Polsce od dawna. Plenność bardzo wysoka, odporność na choroby wysoka. Zdrewniałe pędy wytrzymują mrozy do -26°C . Pora dojrzewania owoców to pierwsza dekada października, a osiągają one do 20% cukru. Barwa jagód od jasnozielonej do złocistej. Wg Romana Myśliwca wino otrzymane z tej odmiany jest dobrej jakości, o wysokim ekstrakcie (23-25 g/l), nadaje się do dłuższego przechowywania i w miarę dojrzewania zyskuje na wartości. Ano zobaczymy...

- **Jutrzenka** - odmiana niska, 7 krzewów

Odmiana stworzona w Winnicy Golesz w Jaśle. Plenność wysoka, krzewy wytrzymują spadki temperatury do -25°C . Owoce dojrzewają w drugiej połowie września. Miąższ o niezwykle silnym aromacie świeżej mięty i liści czarnej porzeczki. Owoce Jutrzenki stanowią doskonały surowiec do wyrobu win likierowych i musujących. Potwierdzamy!

Nadmienie, iż wszystkie zakupione sadzonki miały dołączony paszport roślin - EC, gdzie podany jest między innymi numer rejestracyjny podmiotu, nazwa botaniczna oraz numer paszportu. Cała przesyłka dotarła do nas za pośrednictwem poczty w postaci niewielkiej paczki zawiniętej workiem foliowym i papierem przewiązanym sznurkiem. Muszę powiedzieć, że spodziewałem się większych gabarytów przesyłki... Ale w końcu nie wielkość się liczy :)

Sama "technologia" sadzenia krzewów nie jest wcale skomplikowana, zwłaszcza po lekturze dołączonych do sadzonek zaleceń Romana Myśliwca oraz przeczytaniu jego ostatniej książki "Winorośl i wino". Pokróćce odbyło się to w następujący sposób: wykopaliśmy odpowiednią ilość dołków w odstępach co 50 cm na głębokość też ok. 50 cm. Na dno każdego dołka wsypaliśmy nieco wierzchniej, dobrej ogrodowej ziemi, po czym wsadziliśmy tam sadzonkę, przysypaliśmy ziemią i podlaliśmy. Obok każdej sadzonki wsadziliśmy tyczkę bambusową o długości ok. 220 cm, tak że wystaje ona na

powierzchnię ok. 170 cm. Tyczki mają wystarczyć na 2 lata, później przygotujemy odpowiednie prowadzenie krzewów, tak aby mogły jak najlepiej owocować i równocześnie utworzyć oczekiwaną przez nas zieloną kurtynę.

Posadzoną winnicę planujemy pilnie obserwować, wykonywać przy niej wszelkie niezbędne zabiegi oraz zaklinać, aby jak najszybciej wydała dorodne owoce. A co zrobimy z dojrzałymi owocami, to opiszemy w swoim czasie...

WINOBRANIE 2008

No i nadszedł w końcu ten dzień, w którym rozpoczęliśmy proces winifikacji, czyli produkcji wina w naszych domowo - garażowych warunkach.

Dzień, którego wyczekiwaliśmy od dawna, a który nastąpił wcześniej nawet niż się tego spodziewaliśmy.



Własna produkcja miała wystartować po dwóch, a już na pewno po trzech latach od posadzenia winnicy, a stało się to w tym samym roku, w którym posadziliśmy nasze winne latorośla. Okazało się bowiem, że - gdy odkryliśmy się z naszą pasją nie tylko do picia, ale i do produkcji winnego

trunku, - u naszych przyjaciół i rodziny jest sporo winogron, z którymi... niewiedomo co zrobić! Nie daliśmy się zatem długo prosić i zdecydowaliśmy się brać wszystko, co nam los zsyła! Było zatem tego ok. 20 kg winogron białych i ok. 40 kg czerwonych. Odmian niestety nie potrafimy nazwać, dość powiedzieć, że są dwie odmiany białe i jedna czerwona. Wiemy też, że czerwona pochodzi z Bułgarii. Mieliśmy ogromną przyjemność w osobistych zbiorach tylko odmian białych, owoce odmiany czerwonej natomiast zostały nam przywieziona do domu.



Do rzeczy, czyli przerobu, zabraliśmy się bez zbędnej zwłoki. Najpierw były winogrona białe. W wielkim skrócie wyglądało to tak: winogrona zostały zgniecione na miążgę, następnie został z nich wyciśnięty sok, do którego dodaliśmy drożdży i odstawiliśmy do fermentacji w butlach. Przy winogronach czerwonych sprawa wyglądała podobnie, z tym, że maceracja w miążdze trwała nieco dłużej, a fermentacja prowadzona jest w specjalnym zbiorniku plastikowym. Niestety, odmiany uprawiane w naszym klimacie rzadko osiągają zawartość cukru pozwalającą na uzyskanie oczekiwanej zawartości alkoholu z samych owoców, więc konieczny był dodatek cukru do nastawów. Tak też uczyniliśmy po dokonaniu

stosownych obliczeń. Jeśli kogoś pożera ciekawość szczegółów, proszę śmiało pytać.

Póki co wina fermentują intensywnie, choć białe już zaczyna hamować. Obserwujemy je na bieżąco kibicując drożdżom w ich pracy polegającej na rozmnażaniu i odżywianiu się.

Staramy się prowadzić cały proces winifikacji zgodnie z kanonami sztuki, pozwalając sobie jednak na odrobinę improwizacji, traktując te nastawy jako zaprawę i zdobycie doświadczeń przed przerobem własnych owoców na większą skalę. Równocześnie wyposażamy naszą mini-wytwórnię w podstawowy sprzęt laboratoryjny, pojemniki oraz inne akcesoria i urządzenia, tak aby w przyszłym roku być gotowym na przyjęcie zwielokrotnionych ilości owoców.



Wszelkim pracom, rozmowom i planom dotyczącym naszego projektu WINNICA towarzyszą uczucia podekscytowania i dumy. I nie ma tutaj większego

znaczenia dość spora ilość pracy, którą trzeba włożyć w samą winnicę, w zbiór i przerób winogron, no i w samą "opiekę" nad winem oraz, co tu kryć pewne koszty, które trzeba ponieść. Dopiero zaczynamy, a już widzimy, że WINO uczy pokory wobec natury i przede wszystkim cierpliwości - przecież to wino, które teraz nastawiliśmy będziemy mogli wypić mniej więcej dopiero za rok - bo to przecież ma być wyjątkowe wino!



Natalia i Daniel

Redakcja Rocznika: Sławomir Chromiński
Lista członków
Stowarzyszenia Rodu Chromińskich

1. Sławomir Chromiński slawek@chrominscy.pl
2. Maria L. Chromińska MaChrom@interia.pl
3. Radosław Chromiński grapefruit@gmail.com
4. Daniel Chromiński daniel@chrominscy.pl
5. Natalia Chromińska nchrominska@gmail.com
6. Barbara Chromińska basia@chrominscy.pl
7. Stanisław M. Chromiński staszek@chrominscy.pl
8. Michał J. Chromiński michal@chrominscy.pl
9. Danuta Jusza danutawiktor@wp.pl
10. Tomasz J. Chromiński tomchrom@wp.pl
11. Helena Chromińska
Nekla
12. Małgorzata Chromińska megchrominska@o2.pl
13. Anita Baum anitabaum@interia.pl
14. Teresa Chromińska teresachrom@poczta.onet.pl
15. Michał Chromiński
Babimost
16. Maria M. Chromińska gola20@op.pl
17. Łukasz Chromiński lukaszek06@wp.pl
18. Stanisław K. Chromiński
Warszawa
19. Stanisław Chromiński
Warszawa
20. Wojciech Chromiński
Warszawa
21. Ryszard R. Chromiński
Stare Kurowo
22. Ryszard Chromiński
Siedlce
23. Renata Chromińska – Linkiewicz renatalink@tlen.pl
24. Waldemar Chromiński
25. Maria Chromińska - Rzepka mchrominska@zwik.lodz.pl
26. Elżbieta Pabijanek elzbieta.pabijanek@wp.pl
27. Andrzej Chromiński bachmat@poczta.onet.pl
28. Jan Chromiński olek1200@wp.pl
29. Robert Chromiński
Siedlce

Handwritten text at the top left, possibly a date or reference number.



Handwritten text at the top right, possibly a date or reference number.

Handwritten title in large, decorative script, likely 'Handwritten - Verzeichnis - Schätze'.

Main body of handwritten text, organized into columns and paragraphs, detailing the contents of the inventory.

Handwritten text below the main body, possibly a signature or date.

Handwritten text below the main body, possibly a signature or date.

Handwritten text on the left side, possibly a name or title.

Handwritten text on the left side, possibly a name or title.



Handwritten text on the right side, possibly a signature or date.

Handwritten text on the right side, possibly a signature or date.

